

Kamena

LUBLIN 19 VII 1981 NR 15 (735)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7108

CENA 7 ZŁ

Czego oczekuje od Zjazdu?

Andrzej Burda

ZBIERA się oto IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. Nadzwyczajny zarówno z uwagi na podyktowane koniecznością odejście od statutowo ustalonego kalendarza zjazdów (zwyczajnych), jak i na z góry wyznaczony mu przez historię atrybut nadzwyczajności i z uwagi na sytuację narodu, w jakiej przychodzi Zjazdowi obradować oraz podejmować ważne decyzje, a następnie z uwagi na historyczną doniosłość tych decyzji, ich ciężar gatunkowy w wymiarze polityczno-społecznym i wreszcie z uwagi na ogrom odpowiedzialności za dalsze losy partii, w nie mniejszym zaś stopniu — za losy naszego społeczeństwa i jego państwowości. Nadzwyczajny to Zjazd, bo nadzwyczajna sytuacja narodu, nadzwyczajne i nieurojone zagrożenia, nadzwyczajny też ciężar odpowiedzialności samej partii, która po drugiej wojnie świa-

towej, w nowej konstelacji politycznej w świecie i Europie, skazana została przez samą historię na spełnianie de facto siły przewodniej społeczeństwa i kształtowanie dalszych losów narodu według swej koncepcji społeczno-politycznej, jedynie wówczas nadającej się do urzeczywistnienia, zgodnie z interesami najszerzego rzesz narodu. Koncepcja ta legła u podstaw Polski Ludowej jako nowej formacji politycznej w dziejach narodu polskiego. Partia będzie jej nadal bronić na nadchodzącym Zjeździe.

Nie zaskakuje nas fakt, że uwaga społeczeństwa zmacona zrozumiałą troską o dalsze losy kraju, skupiona jest — w szczególnym stopniu i ze szczególnym napięciem poczawszy co najmniej od X Plenum KC PZPR —

Dokończenie na str. 4

WTEDY W LIPCU...

Zygmunt Mikulski

TRZYDZIEŚCI siedem lat. Tak ładny kawałek czasu, że aż mi się wierzyć nie chce. To znaczy owszem, arytmetyka swoje mówi, ale kiedy mam znaleźć się myślą w tym momencie, gdy Lublin przeżywał pierwsze dni wolności, widzę siebie jeszcze nawet nie dwudziestopięcioletniego, więc i te trzydzieści siedem gdzieś znika. Nie umiem wspominać, umiem być w przeszłości.

No więc jestem. Wojskowe oddziały, tabory, jakieś pędzone stadka koni przeciągają zapiaszczonymi, bo pozabawionymi bruku ulicami. Ciągłe na zachód, jakby na starcie do ofensywy na Berlin. Gdzie znikają? Trudno powiedzieć. Wiadomo tylko, gdzie znajdują się ośrodki życia cywilnego: na Krakowskim Przedmieściu 62 i Spokojnej (później 22 Lipca) 4. Dlaczego wymieniam w takiej kolejności? Przecież na Spokojnej był PKWN. Tak, ale Krakowskie 62 to samo centrum, nie sposób było znajdować się w mieście i ożywienia tego budynku nie zauważyć. Nieustannie czynny wiatrak drzwi obrotowych, które jeszcze do dziś zachowały swój dawny charakter. A może by cały dom umieścić w gablocie? Niezła

myśl. Bo jeszcze trochę — panowie inżynierowie urbanistyki! — a do reszty zatrą się ślady Borejszy i Pu-tramenta (te dwa nazwiska wymawiało się łącznie), Przybosa, Kuryluka, Bystrzyckiej, żaden załom korytarza nie przypomni echa rozmów prowadzonych publicznie i prywatnie. Publicznie i prywatnie. To na jedno wychodzi. Proszę sobie wyobrazić czas, kiedy nie było różnicy między stołem prezydyjnym (mównicę jeszcze nie było) a kuluarami, kiedy w obu miejscach mówiło się to samo i w ten sam sposób. Kiedy pytanie o życie i zdrowie Niusi było równoznaczne z pytaniem o los powstańczej Warszawy.

Ale patrząc w tamte dni przybliżone lornetką pamięci kogo jeszcze widzę? Siebie. Prawda, że ledwo go poznaję, ale to przecież ja. Ten, kto tak snuje się po ulicach, a właściwie rowach przeciwlotniczych, kto zagląda do okien, a właściwie wypalonych otworów, kto ze spóźnionym przetrachem stwierdza, że wszedł na ob-

Dokończenie na str. 8-9

Przy rozstrzygnięciu rodzących się dylematów podstawowym drogowskazem muszą być Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka. Jako obywatele musimy bronić tych praw i wymagać by rządy wypełniały podpisane zobowiązania. (...) Solidarność wobec totalitarnego zagrożenia jednostki i narodu przypomina nam dziś, że architektura może być tylko tylko ludzka i piękna, kiedy tworzą ją wolni obywatele służący wolnemu społeczeństwu.

(Fragmenty Kartki Warszawskiej ogłoszonej w czasie XIV Kongresu UIA)

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Uczestniczyła pani w warszawskim Kongresie Międzynarodowej Unii Architektów zakończonym 21 czerwca który zgromadził niemal 3000 osób, w tym 1800 z zagranicy, obradował pod hasłem „Architektura — Czo-

wiek — Środowisko”. Jakie środowisko mieliście na uwadze: naturalne, „betonowe”, społeczne, kulturowe?

Jadwiga Jamiolkowska: — Każde z wymienionych to wszystko, co określa biologiczną, psychiczną i moralną eg-

zystencję człowieka, ulegając przy tym postępującej degradacji.

IJK: — Czy nie było to zatem hasło spóźnione o dobre kilkanaście lat?

JJ: — O tych sprawach architektki mówią od dawna, podobne kwestie poruszano np. na poprzednim kongresie UIA, który odbył się trzy lata temu w Meksyku. W okresie dzielącym to spotkanie od warszawskiego nieustannie pracowały grupy robocze unii, które w Pałacu Kultury i Nauki przedstawiły następnie wyniki swej

Dokończenie na str. 5

Małe jest dobre

ROZMOWA z arch. Jadwigą Jamiolkowską
po XIV Kongresie UIA



Fot. Waldemar Stępień

z notatnika

11 VII. Bardzo już dawno nie byłem w lubelskiej „Victorii”, ale namówił mnie na wspólną konsumpcję sąsiad z tej strony „Kamery”, zachwalając dobre żarcie. I tak wczoraj, w piątek, wkroczyliśmy do sali restauracyjnej. Była właśnie godzina 16 — pełnia obiadowa. Kelnerki dzielnie krzątały się przy pustych stolikach, ustawiając na nich tabliczki z napisem „reservé”. Oszczędziły jedynie kilka stolików przy drzwiach wejściowych, gdzie właśnie biesiadowano. Kiedy kilku gości wyszło, usiedliśmy na wolnych krzesłach. Natychmiast zjawili się kelnerka — nie, nie z kartą, ale z tabliczką ze wspomnianym napisem. Energicznie zaprotestowaliśmy, a kiedy nasz protest został odrzucony, poprosiliśmy o książkę załaż. „Będzie kierownik, to dam książkę” — usłyszeliśmy. Pana kierownika, F. Falka, jednak nie ujrzelśmy i ostatecznie zajęła się nami dziewczyna o dużych, niebieskich oczach. Nasza więc była victoria.

Ciągle jednak spoglądaliśmy na te puste stoliki. Raz po raz ktoś usiłował dokonać tam zamachu. Bezskutecznie: panowie się skończyli, hasło „klient (konsument) nasz pan!” można traktować jedynie w kategoriach historycznych. Konsument przychodził więc i odchodził. I ta zabawa trwała tak przez dwie i pół godziny. Dopiero wówczas zjawia się większa gromadka wycieczkowiczów, którzy zresztą szybko skomunowali posiłek, i wreszcie lokal mógł zabłysnąć pełnym blaskiem. A teraz znajomości zawiera się bardzo szybko: integrują zapalki, papierosy (szczególnie, którzy je posiadają i sami nie palą...), gazety. Na naszych oczach rodzi się nowa obyczajowość — szybkie łączenie się stolików, wędrówka ludzi i... kieliszków.

Nie mogę zrozumieć, jak to, bądź co bądź, średniej (europejskiej?) klasy restauracji oplaca się na dwie i pół godziny wyłączyć z obiegu cztery piąte sali? Gdzie rachunek ekonomiczny? I kemu ma ostatecznie służyć uspołeczniona gastronomia?

Alie kuchnię „Victorii” chwalebę — i to jest ten akcent optymistyczny...

Dopisuję w niedzielę: znajoma barmanka z innej restauracji powiedziała mi, że rachunek ekonomiczny jednak tutaj jest: wycieczka gorzej nad indywidualnymi konsumentami. Przede wszystkim nie grymasi, zje wszystko, co do stanie, nie patrzy, czy porcja, dajmy na to szynki, waży 80 czy 100 gramów. Zdeż się, że wycieczka się rozpięcha: zamiast stu osób zjawia się osiemdziesiąt, ale zamówienie opiewało na sto — dwadzieścia obiadów czy kolacji można więc racjonalnie. Kierownikowi wycieczki jest wszystko jedno — płaci za całość i nie zwraca uwagi, że ta całość jest pomniejszona o 20 proc. Ostatecznie, nie jego pieniądze i ci, którzy się w mieście zagubili, niech sobie radzą jak chcą...

A ja ciągle z wielkim rozrzewnieniem wspominałem te moje książki z lat 1947—1949, ot, choćby te na Wileńskiej, te, o której później powiększono sklep spożywczy. Jakże tam było wielkie żarcie, jak serdecznie witano tam gości! „Moje uszanowanie, panu mecenasowi!”... „Moje uszanowanie, panu doktorowi!”... „Moje uszanowanie, panu redaktorowi!”... Niszej podpisany „pan redaktor”, szczerem pocztujący, potrafił zarobić wówczas w starej walucie i 40 tysięcy zetał miesięcznie, a obiad klubowy, dwukrotnie droższy od tzw. obiadu popularnego kosztował złotych 150. Dzisiaj tyle się płaci w „Uni” za drugie danie, ale kto ma teraz 40 tysięcy zetał? Nawet wielki Górski publicznie stwierdził w TV, że za trenowanie „Legii” zarobi miesięcznie tylko 11 tysięcy... Chyba nie udaje Greka!

12 VII. Piątkowo-sobotnio-niedzielną „Kurier Lubelski” zamieścił interesujący tekst Krzysztofa Stankiewicza „W rok po lubelskim lipcu”, stanowiący próbę rekonstrukcji tamtych burzliwych dni. Pismo spleca w ten sposób dług wobec swoich czytelników, bo w tym ubiegłorocznym lipcu niewiele mogło napisać. Próbowałem i ja w „notatniku”, zachęcani również przez Ewę Krajewską, pełniącą wówczas funkcję sekretarza KW PZPR, ale rzecz oparła się o ówczesnego zastępcę kierownika Wydziału Prasy, Radia i TV KC PZPR i tam zapaliło się już czerwone światło. W ostatniej chwili musiałem tekst o strajkach zastąpić... cytowaniem artykułu wstępnego „Trybuny Ludu”.

To już historia. Dziś pisze się o lubelskim lipcu bez nieomówień, a rocznicę upamiętnia się pamiątkami...

Właśnie na łamach „Gazety Krajo-wskiej” rozpoczęło (numer z 7 lipca) druk „Dziennika lipcowych

dni” pióra lubelskiego dziennikarza, Stanisława Jadczaaka. Praca ta została wyróżniona (obok czterech tekstów innych autorów) nagrodą I stopnia w konkursie im. Adama Polewki.

Jadczaak cytuje z „dziennikarskiego notesu” pod datą 7 lipca 1980 r.:

„Lublin obiega sensacyjna wiadomość — strajkuje 12-tysięczna załoga WSK Swidnik. Plotka niesie różne wersje przyczyn i przebiegu wydarzeń. W południe redakcja ma pierwsze informacje. Wg. nich wszystko zaczęło się od kotletów schabowych. Jeszcze wczoraj placono za kotlet 10,20 zł. Dziś podczas przerwy śniadaniowej, robotnicy z Wydziału Mechanicznego WSK, przyszedłszy do stołówki zobaczyli nową cenę — 13,40 zł. Oburzeni, zaczęli przeliczać nowe ceny na swoje zarobki, głośno wykrzykiwali, ile który z nich będzie mógł kupić takich kotletów za swoją miesięczną pensję. Rachunek nie był optymistyczny. Ze stołówki Wydziału Mechanicznego poszły wieści po całym zakładzie. Poszczególne wydziały WSK przerwały pracę, robotnicy gromadzili się przy maszynach, dyskutowali. Nikt nie słuchał apeli kierowników i dyrektorów zapędzających ludzi z powrotem do pracy.

Następnie załogi poszczególnych wydziałów ruszyły ku budynkowi dyrekcji. Szli gromadą śpiewając „Wykłęty powstań ludu ziemi...” Przed budynkiem dyrekcji czekali na nich dyrektor naczelny WSK i I sekretarz KZ PZPR. Ci znów sypnęli apalami, perswadowali, prosili o powrót ludzi do pracy. Bez skutku. Za to z tłumu robotników posypały się żądania pod adresem władz państwowych i dyrekcji. Do Komitetu Wojewódzkiego PZPR przekazano zaraz 4 najważniejsze z nich. Pierwszy dotyczył cofnięcia podwyżki cen dań mięsnych w stołówkach i bufetach pracowniczych, drugi — podniesienia zarobków robotniczych, trzeci — zmiany przewodniczącego Rady Zakładowej i nowych wyborów do Rady.

Później nadeszły z WSK informacje o zamknięciu przez robotników zakładowego lotniska — po to, by nikt nie mógł na nim samowolnie wylądować. W Lublinie rozszalały się plotki. A więc milicja i wojska miały zająć tereny między WSK a PSC w Lublinie, w ten sposób nie doszło do połączenia się robotników z tych dwóch największych zakładów przemysłowych Lubelszczyzny. Następną informacją — pierwsza zmiana z WSK poszła o godz. 14 spokojnie do domu, potem — że druga zmiana przyszła do pracy, ale też strajkuje.

Pierwsze komentarze: to bardzo dobrze, że nie wyszli na ulicę jak w 1970 i 1976 r. Nie można już posądzić robotników o chuligaństwo i warcholstwo, rozmawiają przecież w swoim zakładzie o swoich sprawach — to jest przejaw wysokiej dojrzałości klasy robotniczej. I drugi aspekt — dojrzałość władz lubelskich — nie obstawiono WSK milicją lub wojskiem jak w Grudniu, nie ma w Swidniku atmosfery napięcia i walki.

Swidnik wieczorem 7 lipca — ulice miasta zatrasowane obrzymymi ciężarówkami z częściami, produktami kooperantów WSK. Część samochodów odjeżdża nie czekając na koniec strajku. Inne stoją przed zamkniętymi bramami WSK. Do zakładu nie wpuszcza się nikogo obcego. Przy drzwiach młodzi ludzie z biało-czerwonymi opaskami na rękę. To straż robotnicza. Sprawdzają przepustki i dowody osobiste, szuka w teczkach i torbach czy przypadkiem na teren zakładu nie przemyca się alkoholu. Obowiązuje bowiem od początku strajku ostrą prohibicja. Także przy bramach, ale z drugiej strony — rodziny robotników... Przez kraty bram trwają dyskusje...

W mieście, 30-tysięcznym Swidniku, spokój, ale wyczuwa się atmosferę napięcia, obawy przed represjami. W sklepach obserwujemy wyjątkowo obfite zapotrzebienie w mięso i wędliny. Przy głównej ulicy miasta — Sławimskiego, w otwartym, choć to godzina 19 — a pracuje do godziny 18 — sklepie mięsnym kupujemy bez przeszkód i kolejkę towarów, których od dawna nie ma w Lublinie — szynkę, suchą kiełbasę myśliwską, schab...

I dalej „z dziennikarskiego notesu” dzień później, 8 lipca:

... W Swidniku przebywa minister przemysłu maszynowego Aleksander Kopeć i wojewoda lubelski Mieczysław Stepien. Trwa nadal

strajk. Ludzie przychodzą, czyszczą maszyny, sprzątają hale, dyskutują, grają w karty i nie pracują. Rośnie lista postulatów wysuwanych pod adresem władz. Załoga cieszy się widokiem dyrektorów WSK — idących do pracy na piechotę. Przed strajkiem przywoziły ich i odwoziły służbowe samochody, teraz panowie dyrektorzy nie chcą się rzucić robotnikom w oczy, więc kierowcy służbowych samochodów mają wolne...

Komentarz lubelski: władze przeżywają szok. Wszystkich nurtuje pytanie — jak to się stało, że Lubelszczyzna, region ludzi tak zawieszonych, kolebka władzy ludowej, województwo spokojne i w 1956 i 1970 i w 1976 roku, region, na który władze zawsze mogły liczyć, nagle strajkuje i to w sytuacji, gdy w kraju jest spokój?

Nadchodzą informacje z WSK. A więc odbył się wiec — przemawiali na nim minister Kopeć i wojewoda. Ministra przyjęto niechętnie, zadano przyjazd Gierka do WSK. Wojewoda dostał nawet trochę braw po oświadczeniu, że zawieszca w czynnościach prezesa GS odpowiedzialnego za dokonanie podwyżki cen wyrobów mięsnych w zakładach stołowych GS Swidnik prowadzi na terenie WSK 26 stołówek i bufetów pracowniczych — rządzi nimi z ramienia spółdzielni jeden kierownik, powszechnie w WSK nazywany prezesem. I robotnicy myśleli, że wojewoda zdjął teko właśnie prezesa. A wojewoda mówił o prezese GS, człowieku mającym w Swidniku wielki autorytet, który miejscowa GS postawił na czele spółdzielni wiejskich woj. lubelskiego. To była pierwsza ofiara strajku. Prezesowi wyrażono krytykę — dokonał podwyżki na polecenie swojej centrali. Pracownicy GS ujęli się za swoim lubianym szefem — podjęli strajk protestacyjny przeciwko krywdzeniu ich prezesa. GS Swidnik — to był drugi zakład w woj. lubelskim wpisany na listę strajkujących...

Dzień następny. Po Swidniku szła Lublin. Dziennikarz notuje:

„A więc po Swidniku mamy strajk i w Lublinie. W LZNS siedzi od rana ekipa w składzie: dyrektor Zjednoczenia, prezydent Lublina, I sekretarz KM PZPR, kierownik Wydziału Organizacyjnego KW PZPR. Czego chcą robotnicy z LZNS? Podwyżki płac i rekompensaty za wyższą cenę mięsa i inflację. Obecnych z pierwszej zmiany 500 robotników spokojnie wysłuchało przemowy dyrektora zakładów, ale pracy nie podjęło. Druga zmiana, mniej liczna — bo czas urlopów — także do pracy nie przystąpiła. Sztab urzędujący w gabinecie dyrektora podjął więc decyzję — jak nie chcecie pracować, to idźcie do domu...”

Nie będę cytował dalej, ale zachęcam „Sztandar Ludu” do... przedruku „Dziennika lipcowych dni”, zwłaszcza że autor otrzyma zapewne wtedy sporo listów, które pozwolą mu zdobyć wiele nowych wiadomości. W przyszłości będzie mógł poszerzyć materiał i uzbiera mu się kilka dobrych arkuszy wydawniczych — powstanie książka, którą powinien zainteresować się lubelski oddział KAW-u.

Staszkwowi Jadczaakowi gratuluję — praca, której się podjął, jest bardzo potrzebna, choć są w niej pewne fragmenty nieco dyskusyjne. Pionierom jednak wiele się wybacza!

M. Jaworski

W NASTĘPNYM NUMERZE M.IN.:

- Własna relacja z przebiegu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR
- Lublin w 1944 roku
- Opowiadanie Tadeusza Cugow - Kwiatkowskiego
- Aleksander Mora wraca na ostatnią stronę

NA EKSPANS

Moratorium - i co dalej

ROK bieżący rozpoczęliśmy ze świadomością katastrofy handlu zagranicznego. Proste szacunki wskazują, że potrzeba nam co najmniej 11 mld dolarów: 7,5 mld na spłatę rat, 2,5 mld na odsetki i około miliarda na pokrycie nadwyżki importu nad eksportem. Nasza strategia poprawy bilansu płatniczego oparta była na znanym pomysle Kutuzowa — wciągnąć przeciwnika głęboko na swoje terytorium i czekać na mrozy. Stawiliśmy się punktualnie płacić raty w nadziei, że uzyskamy następnie kredyty. W ten sposób, dzięki zabiegowi zwanemu refundacją albo refinansowaniem, zamierzaliśmy uzyskać korzystniejszy rozkład spłat w czasie.

Niestety, zabieg ten się nie udał. Mimo że do 25 marca płaciiliśmy jak trzeba, chętnych na udzielanie następnych kredytów nie było. Dla wierzycieli mniej bowiem jest istotne, czy jeszcze płacimy, a bardziej jakie są nasze rzeczywiste możliwości ekonomiczne. Ponieważ kres kryzysu ani drogi wychodzenia z niego nie były widoczne, bankierzy nie tłoczyli się z propozycjami.

Pod koniec lutego przedstawiliśmy bankom komercyjnym wniosek o przesunięcie spłat (moratorium) przypadających na okres od kwietnia do końca roku, a wynoszących 3,3 mld dolarów. Równolegle toczyły się rokowania z rządami w sprawie tzw. kredytów gwarantowanych przez rząd, z równoczesnym wystąpieniem o nową pożyczkę w wysokości miliarda dolarów. Niemalym zarzyłem w tych rokowaniach była ogłoszona 25 marca refundacja, czyli czasowe zawieszenie płatności. W tej sytuacji udzielenie moratorium stało się być albo nie być polskiego importu. Twarde domaganie się spłaty rat spowodowałoby absolutną niemożność kupienia przez nas czegokolwiek na Zachodzie, i to w sytuacji, w której importujemy z Zachodu: wodę destylowaną, kredę do pasty do zębów, korki do butelek i etykiety na wódkę wyborową. Oznaczałoby to zastopowanie produkcji szeregu dóbr.

Sytuacja taka miałaby także inne konsekwencje. Banki, nie mogąc sfinalizować należności, musiałyby księgować nasze długi jako straty. Odbiłoby się to na zyskach i wypłacanych przez banki dywidendach. W konsekwencji mogłoby spowodować masową ucieczkę od walorów papierowych jako niepewnych i doprowadzić do krachu na Wall Street. Tak więc, skoro już raz użyłem porównania militarnego, mogliśmy się stać Konradem Wallenrodem i doprowadzić do potwornej klęski kapitalistycznego systemu pieniężnego.

Ponieważ interes był (w pewnym sensie, obustronny), rządy piętnastu krajów wierzycielskich na konferencji w Paryżu poszły nam na rękę i zgodziły się na odroczenie 90 proc. należnych im do końca roku rat i odsetek. Suma ich wynosi 2,5 mld dolarów i musi być przez nas spłacona w latach 1986—1989. Nieco trudniejsza jest sprawa z kredytami nie gwarantowanymi przez rządy. Tutaj wszystko zależy od banków, które nie są instytucjami charytatywnymi. Dlatego rokowania z przedstawicielami około 480 banków prowadzone w Londynie i Frankfurcie przebiegały gorzej. Bankom tym powinniśmy do końca roku zapłacić około 2,4 mld rat i ok. 0,8 mld dolarów odsetek. Banki niemieckie, francuskie, brytyjskie i austriackie skłonne były wyrazić zgodę na przełożenie płatności. Odmienne była postawa banków amerykańskich. Jedenaście wielkich banków amerykańskich na spotkaniu w początkach czerwca postanowiło zablokować decyzje frankfurckie do czasu przedstawienia przez nas programu reformy. Znowu nad naszym horyzontem wisiały czarne chmury. Na szczęście „Walny Zjazd 63 Amerykańskich Banków” (którym dłużni jesteśmy 1,5 mld), jaki odbył się 20 czerwca, postanowił zamrozić płatności przypadające na ten rok. Tym samym analogicznie postąpią banki europejskie.

Całej sprawie daleko do happy-endu. Po pierwsze — jest problem kredytów bieżących potrzebnych chociażby na ratunkowy import mięsa i materiałów do produkcji. Po drugie — w sierpniu rozpoczynają się negocjacje dotyczące rat i odsetek przypadających na najbliższe dwa lata. Doprawdy nie ma czego zazdrościć naszym finansistom. Jaka to się ciężka posada teraz zrobiła — jak mawia często cytowany przeze mnie Piętrzak.

Porą na moralę, czyli tytułowy *codalek*. Istnieją trzy scenariusze przyszłości. W optymistycznym od przyszłego roku zwiększymy eksport o 15 proc. przy niezmiennym imporcie, wówczas nasze zadłużenie rośnie do 1985, osiagając poziom ca 35 mld dol. W wariancie umiarkowanie optymistycznym udaje nam się uzyskać 7-8-punktową różnicę między tempem eksportu i importu. Długi nasze rosłyby wtedy do końca dekady, przekraczając poziom 40 mld dolarów. I wariant trzeci, pesymistyczny. W najbliższych latach nie udaje nam się uzyskać znacznej nadwyżki w handlu zagranicznym. Tego, co będzie dziać się wówczas, nie potrafię obliczyć.

Na razie nasz rozwój przebiega według scenariusza trzeciego. Na szczęście zmienili się reżyserzy.

emzel

Z demokracją jest jak z chlebem...

Z Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Lublinie opublikowałem w poprzednim numerze „Kamery” ni to sprawozdanie, ni to felieton. Nie mniej ów pośpiesznie pisany tekst spotkał się (na ogół, na ogół...) z życzliwym przyjęciem. Obecnie dysponuję stenogramem poszczególnych wystąpień. Uważam, że dla poszerzenia optyki warto kilka głosów w skrócie przytoczyć. Z góry przepraszam: na autoryzacje brak mi czasu, ale stenogram powstał na podstawie zapisu magnetofonowego.

ZDZISŁAW CACKOWSKI

Od ponad 26 lat jestem pracownikiem Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej. Jak się długo tkwi, to ma się dość czasu, aby poznać bezne słabości tego środowiska. Ja je znam i czuję, bo one są bardzo dokuczliwe. Ale jednocześnie, jak patrzę na to, co się w czasie mego pobytu na uczelni w tym środowisku dokonało — i w sensie materialnym, bardzo widocznym, i w sensie kadrowym, nauczycielskim i wychowawczym — to muszę powiedzieć, że nie wstydzę się swego członkostwa w tej wspólnotce. Przeciwnie, odczuwam zadowolenie, które mi dodaje siły i wzmaga moją aktywność. Przypuszczam, że nie tylko mnie, ale wszystkim pracownikom naszego środowiska zależy na tym, aby trud i efekty naszej pracy dostrzegali społeczeństwo Lublina, żegnając wy, najlepsi, wybrani spośród członków partii, również dostrzegali nasze wysiłki i nasze efekty, które są może nie wystarczające, ale na miarę naszych możliwości.

Chcę nawiązać do krótkiej dyskusji, jaka miała miejsce, na temat punktów preferencyjnych za pochodzenie kandydata na studia wyższe. Sam jestem pochodzenia chłopskiego i doceniam również ten awans młodzieży chłopskiej, która po wojnie po raz pierwszy masowo mogła korzystać ze szkół średnich, uniwersytetów i — jak myślę — właśnie z tego punktu widzenia ta refleksja jest dla mnie ważna. Refleksja wynikająca też z 36-lecia, z punktu widzenia własnego człowieka ze środowiska chłopskiego pochodzącego. A to środowisko chłopskie to było kiedyś 60 procent społeczeństwa polskiego! Określam tak: w 36-leciu powstał naród polski. To znaczy ściślej — do tego narodu włączono 60 proc. ludności, która pod względem materialnym, warunków życia, warunków zdrowotnych, mieszkaniowych i oświatowych znajdowała się poza narodem. Integrowanie tej chłopskiej części społeczeństwa z narodem to wielkie, historyczne dokonanie...

Wracając do punktacji: ja jestem za utrzymaniem punktacji i chcę powiedzieć, że nie tylko ja, chyba większość rad wydziałowych, a podejrzewam, że chyba wszystkie, w głosowaniu wypowiedziałyby się za utrzymaniem tej punktacji. Ale po tym stwierdzeniu chcę wypowiedzieć swoje „ale”, i to bardzo poważne „ale”: punktacja jest złem koniecznym. Jest środkiem, który praktycznie niczego nie zatławia, jest środkiem, który byłby szkodliwym, zdecydowanie szkodliwym, gdybyśmy ów środek uznali za zasadniczy. Sprawa zasadnicza rzeczywiście leży gdzie indziej, sprawa zasadnicza to między innymi sama aspiracja środowisk chłopskich i robotniczych, ich pęd do szkolnictwa wyższego... A więc sumując: jestem za utrzymaniem punktacji, ale i za tym, by zdecydowanie podjąć działania, które by przewyższyły zróżnicowanie poziomu szkół, zróżnicowanie materialne i kulturowe rodzin, co też wpływa na to, jak ta młodzież jest do podjęcia studiów przygotowana.

Kolejny problem. Chcę wypowiedzieć kilka słów własnego komentarza do wypowiedzi towarzyszy z Komitetu Miejskiego (mowa o tow. Wójciszewicz — jej wypowiedź cytowałem w poprzednim numerze — MAJ). Wtedy, kiedy ona mówiła o sprawie pana Moczulskiego, byłem zadowolony i może nawet trochę przerażony, no, ale nie przesadzam z tym przerażeniem... W walce politycznej nie chodzi o to — i ona na tym nie polega — że przeciwnicy się spolykają i konfrontują między sobą argumenty i po wyjściu z tego spotkania jedna strona ma o to dwa argumenty mniej, a druga więcej. Tak bywa może czasem w dyskusjach naukowych, ale i to nie zawsze. Natomiast w walce politycznej nie konfrontuje się argumentów, konfrontuje się hasła, przy czym może być i tak, że jedna strona bierze hasła od drugiej strony, a druga od pierwszej. W świecie rzeczy trudno jednak mówić o wymianie hasła, bo każda z stron ma swoje hasła, które uważa za dobre. Te hasła nie są adresowane do drugiej strony, ale do strony trzeciej — do ludzi, którzy albo reagują na hasła jednej strony albo drugiej i chodzi o to, aby właśnie w tym kierunku walkę polityczną prowadzić.

Nasz kraj jest dzisiaj krajem ułasnym problemem. Często się dziwie — myślę, że nie tylko ja się dziwie — jak zadziwiający spokój widzę u ludzi, jaką zadziwiającą cierpliwość wykazują ludzie stojący w kolejkach. Proszę towarzyszy, by byli dynamici, za którego ewentualne rozsia-

nie ponosimy ogromną odpowiedzialność. W tej sytuacji nie wolno miotać ogniem. Nie można rozsiewać iskier, trzeba natomiast przeciwdziałać tym, którzy to czynią.

Kilka słów o demokracji. Z demokracją jest jak z chlebem. Jak chleba mało — pamiętamy, były takie czasy, kiedy go było mało, ja te czasy pamiętam; pamiętam jak to zbierało się na wsi te okruszyny chleba, papier to też przypominał, gdy był w Polsce; podnosiło się te okruszyny chleba i całowalo... — to on jest świętością. A jak chleba jest dużo? Co się wtedy z nim dzieje? Chleb przekształca się wtedy w zwykłą substancję spożywczą. A jak jest z demokracją? Bardzo podobnie. Jak jej mało, to ona staje się celem, celem samym w sobie. A jak jest ona sprawą dnia powszedniego, to wówczas przestaje być tym celem samym w sobie i patrzymy na nią przez perspektywę jej skuteczności. Czy przysparza nam efektów gospodarczych? Czy nam poprawia stosunki między ludźmi? My teraz jesteśmy w formie, powiedziałbym, przejściowej. Ale za długo przejściowej! Całą uwagę skupiliśmy na formach, natomiast jeszcze nie doszliśmy do tego — nie doszliśmy z formami demokratycznymi — żeby kontrolować ją poprzez skuteczność. A musimy to osiągnąć jak najszybciej.

Ciągle dominuje pytanie, jak wybierać, natomiast zatraca się pytanie kogo wybierać. Ciąży na nas atmosfera magii. Magia to jest taka postawa, kiedy ludzie wierzą, że działanie symboliczne może dać efekty materialne. Ze działanie słowne samo przez się może przekształcić się w czyn. My w tej dziedzinie działania magicznego mamy długie doświadczenie i to nie tylko z ostatnich miesięcy, ale dziś dochodzimy już chyba do granic możliwości. Jest to przejaw rzeczywistej choroby społecznej. Zebraliśmy, negocjujemy, przemawiamy, modlimy się. Natomiast naprawę w sferze, że tak powiem, podstawowej nie jesteśmy mocni...

WIKTOR PRZYBYLSKI

(wówczas I sekretarz KZ PZPR WSK Świdnik, obecnie sekretarz KW PZPR)

W dniach lipcowych ub.r. byłem jednym z tych, którym przypadło zbieranie wszystkich wniosków, postulatów i żądań pracowników. Dla tego też dzisiaj z pełną odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że nie było wśród tych kilkuset postulatów ani jednego, który byłby skierowany przeciwko ustrojowi socjalistycznemu, sojuszom międzynarodowym, przeciwko Związkowi Radzieckiemu, przeciwko partii.

Postulaty obnażyły natomiast błędy w polityce gospodarczej i domagały się sprawiedliwości społecznej.

Wysoką świadomość, ujawniającą się w wysuwaniu samych żądań, jak i w działaniach potwierdzających sposób i godność z jaką pracownicy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku domagali się swoich racji.

Dziś, kiedy często mówimy o działaniach antysocjalistycznych, o wystąpieniach przeciwko partii, dostrzegamy, że zjawisko to nie ominęło i WSK. Pod wpływem zewnętrznej inspiracji różnego pokroju działacze (bynajmniej nie związkowych) zaczęła się pojawiać i szkodliwa działalność propagandowa. Gdy nieraz wiąże się ze szkodliwą działalnością z ruchem robotniczym, który skupił się w „Solidarności”, uczciwi ludzie, którzy sobie nie do zarzucenia nie mają, oburzają się i mają rację, bo zarzutów do siebie nie odnoszą. Ale można mieć do nich, w tym i do niektórych członków partii, zastrzeżenie, że z małą stanowczością starają się oni odcyścić z tego wszystkiego, co przylgnęło do tego robotniczego ruchu i mu szkodzi. Wzbudza jednak nadzieję fakt, że zaczyna występować odcinanie się prawdziwych działaczy związkowych od tej zgubnej dla kraju działalności.

Duża część towarzyszy z WSK wyraża obawę o konieczną realizację Uchwały XI Plenum KC. Widzą oni konieczność bardziej zdecydowanej postawy organów centralnych... Nie można również zgodzić się na przedłużanie takiego stanu, w którym bez powodów szkuluje się ludzi wartościowych, pozbawiając ich pracy dlatego, że byli wymagający, dbający o dyscyplinę, że byli aktywnymi działaczami partyjnymi. Administracja dalej jest rozbrojona, a to stwierdzenie opieram na konkretnych przykładach z naszego terenu.

Towarzysze, żadna partia polityczna, sprawująca władzę, nie może sobie pozwolić na to, by pozostawić działaczy na łasce przypadkowego losu, co równa się unicestwieniu. Taka partia nigdy nie będzie mogła zwrócić swych szeregow i skutecznie oddziaływać na społeczeństwo.

BARBARA SIKORSKA

(kierownik działu WZSR „SCH” w Lublinie)

W moim odczuciu partia powinna wytyczać ogólne koncepcje rozwoju gospodarczego, które po szerokiej konsultacji z ZSL, SD oraz społeczeństwem i zatwierdzeniu przez Sejm powinny stanowić wytyczne do podejmowania decyzji rządo-

wych. I na tym etapie partia powinna zostawić swobodę działania dla administracji państwowej, rezerwując sobie prawo okresowej oceny realizacji wytyczonych celów. Od IX Zjazdu partii oczekuję przede wszystkim określenia terminu wyjścia z kryzysu, zdecydowanego wypowiedzenia się w sprawie przewodniej roli partii, niezmarowania pierwszej demokratycznej debaty z członkami, gwarancji statutowych zabezpieczających przed kryzysem oraz sformułowania konkretnego programu. W tym względzie nie zgodzę się ze środowiskiem naukowym, że poziom społeczeństwa jest tak wysoki, iż używanie języka ekonomicznego czy politologicznego to jest rzecz normalna i że całe społeczeństwo ów język rozumie.

Towarzysze, stykacie się z ludźmi w kolejkach — słuchacie, co oni mówią, słuchacie tego gniewnego pomruku. Dla nich wszystkie te zawłoki ekonomiczne są nie do przełknięcia, wręcz irytuje ich taki język! Uważają, że jest to jeszcze jedna z metod nienazywania rzeczy wprost, że jest to jeszcze jeden ze sposobów ukrywania myśli i intencji, bądź ich dowolnej interpretacji.

MICHAŁ BOKINIEC

(wówczas dyrektor PSK 4, obecnie sekretarz KW PZPR)

„Sama służba zdrowia nie jest sama w stanie w pełni zabezpieczyć zdrowotności społeczeństwa. Działania na tym polu muszą współgrać z innymi poczynaniami gospodarczymi, politycznymi i musi tu nastąpić współdziałanie wielu ogniw i resortów.

Niestety, w niektórych dziedzinach działania służby zdrowia okazuje się, że wiele społecznych pieniędzy idzie na cele nie ze służby zdrowia na mające wspólne — na utrzymanie różnych form administracyjnych, np. zjednoczeń typu „Cefarm” i innych. Podporządkowanie m. in. apiek zjednoczeniu „Cefarm” — ze szkodą dla województwa i regionu — jest chyba jakimś nieporozumieniem. Np. lubelski „Cefarm” rozwził leki z Lublina pod Warszawę i dalej. Budżet przedsiębiorstwa jest w gestii władz centralnych, toteż nie widać w Warszawie, że dla przechowywania ampułek, leków i materiałów opatrunkowych potrzeba lubelskiemu „Cefarmowi” tylko 2000 zł kw. powierzchni i dachu do ich przykrycia. Tymczasem od powołania tego zjednoczenia, to jest od lat prawie dziesięciu, nie ma nawet złotych na inwestycje!

A weźmy różne resorty służby zdrowia. Rozdrabnia to siły i środki, wzbudza nieufność społeczeństwa, stwarza przywileje dla pewnych grup, a przecież chory człowiek, niezależnie od branży, w której pracuje, wymaga takich samych poczynania dla poratowania zdrowia. Głos domagający się uregulowania tych kwestii, od dawna w społeczeństwie nabrzmiał, powinien być wreszcie usłyszany i zgodnie z postulatami społeczeństwa zrealizowany. W dyskusji przedjazdowej, w poszczególnych podstawowych organizacjach partyjnych, te sprawy wszędzie były jednoznacznie definiowane.

W warunkach naszego województwa liczba łóżek po wybudowaniu tzw. szpitala pozaklinicznego i Instytutu Pediatrii w pełni zaspokoi potrzeby ludności w zakresie łóżek szpitalnych. Pozostaje kwestia ich uprofilowania i właściwego wykorzystania. Szpitale miasta Lublina stanowią w zakresie łóżek 43 proc. substancji wojewódzkiej, jednakże zatławiają ponad 70 proc. potrzeb. Natomiast na szpitale w województwie przypada prawie 60 proc. liczby łóżek i tylko 38 proc. realizacji zadań. Stąd łożko np. w PSK 4 „pracuje” średnio 365 dni w roku, a w szpitalach poza Lublinem — 210 dni. Równocześnie też szpitale kliniczne udzielają świadczeń dla całego regionu. I znów obserwujemy pewną nielogiczność. Szpitale kliniczne, aczkolwiek stanowią ponad 32 proc. liczby łóżek w województwie, nie są szpitalami powszechnej służby zdrowia. Przy istniejącej i powszechnej organizacji pozostawiają służbę zdrowia nie widzę przeszkód, aby uszyskały one status szpitali regionalnych. Wiązałoby to się logicznie z zadaniami Akademii Medycznej w zakresie nadzoru regionalnego.

W swoim czasie rozwijały się dość sprawnie spółdzielcze formy działania służby zdrowia na wsi. Czy nie należałoby wrócić do tych dobrych form działania służby zdrowia na wsi?

Najbliższy punkt leczniczej działalności służby zdrowia stanowi lecnicztwo podstawowe. Wynika to nie tylko z braku odpowiednich lokali, ale także z pewnego formalnego zawężenia perspektywy działalności tych lekarzy, poczucia ich mniejszej wartości, niemożności zrobienia odpowiedniej specjalizacji, zabezpieczenia im naukowego kontaktu z książką, ze szpitalem. Ponadto zbyt duża liczba pacjentów nie pozwala na rzeczywistą realizację zadań.

Przytoczyłem zaledwie kilka głosów z dyskusji. Wiele znajdzie się w wewnętrznym biuletynie KW PZPR. A samą dyskusję w skrócie zrelacjonował już „Sztandar Ludu”.

Czego oczekujemy od Zjazdu?

Dokończenie ze str. 1

na wszystkich poczynaniach związanych z przygotowaniem nadchodzącego Zjazdu, a z których przebiegu i do-raznych efektów snuć może prognozy odnośnie pomyślnego przebiegu samego Zjazdu, dojrzałości i trafności jego uchwał, a także zbawienności dla całej zbiorowości Polaków. Ta skoncentrowana uwaga i te oczekiwania są niemy — ale jakże wymownym — dowodem uznania przewodniej roli partii. W 1939 roku instynkt narodu zadziałał prawidłowo w imię salwowania honoru i niepodległości; wierzę, że milczącym pragnieniem wszystkich rozsądnych Polaków dzisiaj jest zachowanie niepodległości w naturalnym sojuszu z państwami wspólnoty socjalistycznej; stanowcze przeciwstawienie się nieodpowiedzialnym elementom awanturnictwa (jednocześnie i głupoty) politycznego; wyprowadzenie kraju z głębokiego kryzysu gospodarczego i zabezpieczenie zagrożonej substancji narodowej. Ci, którzy żywią takie pragnienia — a stanowią oni przynajmniej większość narodu — wiedzą, że najwiarygodniejszym rzecznikiem spełnienia tych pragnień jest PZPR.

To oczekiwanie wszystkich rozsądnych płynie z przekonania — ugruntowanego doświadczeniem ubiegłych dziesięcioleci — że niepodległość jest nieodłącznie związana z losami budownictwa socjalizmu w naszym kraju, oczyszczonego od dotychczasowych zwyrodnień i wypaczeń, oraz że naród nasz musi kształtować swą pomyślną przyszłość w pewnych granicach nad Wisłą i Odrą. W żadnym zaś wypadku nie może pozwolić sobie na „politykę księżycową”. O księżycu można marzyć, ale żyć na nim — za naszych dni — nie podobna.

Szansę pomyślnego przebiegu Zjazdu oraz prawidłowego i autorytatywnego sformułowania przezeń programu reformy gospodarczej, tudzież naprawy Rzeczypospolitej, chcę widzieć w pracowicie i na ogół pomyślnie przebiegających przygotowaniach, a także we wzmożonej aktywności politycznej i organizacyjnej w szeregach partyjnych; oceniam to jako zjawisko sygnalizujące dalsze zdynamizowanie życia wewnątrzpartyjnego, jako źródło nowych zapasów energii, której starczy winno nie tylko na Zjazd. Wydaje mi się też, że nastąpiło zdecydowane ocknięcie się z przydługiego marazmu i są szanse przezwyciężenia częściowego paraliżu niektórych ogniw aparatu państwowego. Szeregi partyjne ożywiają się i wyrównują, a praca partyjna odzyskuje rytm, zatracony w atmosferze zaskoczenia i oszołomienia wywołanego rozmiarami rozprzężenia.

Nie poddajmy się jednak wizji, niejako automatycznie i bez wstrząsów (a nawet i zgrzytów) dokonywanego sukcesu; niech nas nie kuśi lekkomyślna stawka na uśmiech szczęścia czy łaskawie przychodzących nam w sukurs „cudownych wydarzeń”. Przed nami nadal „droga stroma i śliska”; i to zarówno przed Zjazdem jak i po Zjeździe. Sama wiara, że „Zjazd musi się udać” nie przyspoży nam oręża w rozgrywającej się batalii. Zresztą, co to ma znaczyć, że Zjazd się udał czy nie udał? W procesach społecznych nie na miejscu jest ufnie przekonanie, że coś musi nastąpić z całą pewnością, zwłaszcza wówczas, gdy „żywiły chęci jeszcze są w wojnie”. O takich czy jeszcze innych efektach określonego etapu procesu historycznego rozstrzyga wzajemna relacja czynników obiektywnych, działających na rzecz tych czy innych zamierzeń i oczekiwań ludzi włączonych swą świadomością i energią w ów proces.

W sensie formalnym można by mówić o „udaniu się” Zjazdu wówczas, gdyby wszystko odbyło się zgodnie z planem i w sposób nie zakłócony, gdyby wybory do władz przeszły zgodnie z oczekiwaniami organizatorów, gdyby uchwały i inne dokumenty były poprawne, obiecujące i budzące optymizm na przyszłość. W takim sensie (formalnym) wszystkie dotychczasowe Zjazdy PZPR raczej udawały się, co

jeszcze nie znaczy, że podjęte na nich decyzje stały się z kolei nowym i żywym włóknom przetwarzanej rzeczywistości politycznej i społecznej. Dla przykładu: gdy czytam fragmenty uchwał VI Zjazdu PZPR (grudzień 1972 r.) większości z nich nie mam nic do zarzucenia z punktu widzenia zarysowanego programu urzeczywistniania, rozwoju i pogłębiania demokracji socjalistycznej (umocnienie roli prawno-ustrojowej organów przedstawicielskich, tj. Sejmu i rad narodowych, ulepszenie systemu kontroli państwowej i społecznej, walka z wypaczeniami biurokratycznymi itp. itd.) z czego jeszcze nie wynika, że Zjazd się udał. O tym ostatnim decyduje szczerze zamierzeń, gwarancje formalne i rzeczowe autentyczności działania instancji partyjnych, postawy moralno-społeczne realizatorów (a więc wszystkich członków partii od dołu do góry), przestrzeganie leninowskich zasad życia wewnątrzpartyjnego; systematyczna, rzetelna i pogłębiona praca wychowawcza w partii. Nakreślenie programu — to dopiero punkt wyjścia dla właściwej pracy całej armii ludzi, wyniki której dopiero zadecydują o werdykcie, czy Zjazd się udał, czy nie udał.

Oczekuję od nadchodzącego Zjazdu nadzwyczajnego przede wszystkim podjęcia tych decyzji, które w sposób istotny będą się mogły przyczynić do przyspieszonej odnowy naszego życia społecznego i politycznego. Rozstrzygnąć w sposób jasny i pryncypialny kontrowersje, mające bezpośrednie znaczenie dla określenia zasad i metod przeprowadzenia wielkiego dzieła odnowy.

Warunkiem pomyślnego i skutecznego przeprowadzenia odnowy jest udoskonalenie partii jako podstawowego narzędzia społeczeństwa, któremu ma ona służyć w wysiłkach zmierzających do umocnienia państwa, przyspieszenia rozwoju gospodarczego i kulturalnego, do umocnienia jedności i zwartości narodu. Zapaść więc muszą decyzje, które, w nawiązaniu do leninowskich wskazań odnośnie struktury i funkcjonowania partii klasy robotniczej, ustala zasady następujące:

a) PZPR kieruje się w swej działalności leninowskimi wskazaniami co do metod działania w życiu państwowym i partyjnym; demokrację wewnątrzpartyjną winny zapewniać zasady: równość praw i obowiązków wszystkich członków partii i zerwanie z wszelkimi przywilejami, używanymi jednostkom czy grupom; jawność życia wewnątrzpartyjnego (przy rozsądnym zachowaniu ograniczeń, poddyktowanych dobrem partii i państwa); prawo do krytyki przy pełnym poszanowaniu zasady centralizmu demokratycznego;

b) PZPR kieruje się ideologią socjalizmu naukowego, realizowaną w sposób twórczy przy uwzględnieniu swoistych właściwości rozwoju i tradycji narodu;

c) demokracja socjalistyczna jest zasadą ustroju politycznego, realizującego humanizm socjalistyczny;

d) przewodnią rolę klasy robotniczej zakłada odpowiednią strukturę partii (zjawisko spadku odsetka robotników w naszej partii jest zjawiskiem niepokojącym, wśzak w naszej Konstytucji zapisano, iż „podstawą obecnej władzy w Polsce jest sojusz klasy robotniczej z pracującym chłopstwem”);

e) zarzucić trzeba błędną praktykę „stawki na ilość” w regulowaniu właściwej struktury partii; partia nie powinna dawać członkom żadnych uprzywilejowań w stosunku do bezpartyjnych; kto nie podziela słuszności idei, niech dla własnego dobra i dobra partii odejdzie; nie wszyscy obywatele mogą być w partii, zaś członkostwo w niej to większe poczucie spełnienia obowiązków członków danej społeczności.

To tylko skrótowe zarysowanie ustaleń i wytycznych Zjazdu, jakie powinny zapaść odnośnie odnowy i umocnienia pozycji partii w życiu publicznym. Wyeksponować należy znaczenie momentu wychowawczego, jako warunku ideowości i zdyscyplinowania płynącego nie z tresury, lecz z

wewnętrznej przekonania. Należy też podjąć wszelkie niezbędne decyzje (natury statutowej i ideowo-programowej), by maksymalnie zabezpieczyć jedność partii.

Jestem głęboko przekonany, że oczekiwania najszerszych kręgów społeczeństwa związane ze Zjazdem mają głównie za przedmiot jego uchwały i ostateczne rozstrzygnięcia w sprawie reformy gospodarczej, której przeprowadzenie będzie warunkiem wstępnym pomyślnego dzieła odnowy we wszystkich pozostałych dziedzinach naszego życia społecznego. Jest to całkowicie zrozumiałe w warunkach szczególnej ekscytacji całego społeczeństwa, jaką wywołuje i podtrzymuje nie tylko zatrważający stan naszej rozwichrzonej gospodarki, ale i przewlekłość dyskursu na ten temat w gronie wybranych — więc chyba i doborowych — specjalistów. Rzeczywiście, wiele czasu stracono w naszym kraju w okresie dzielącym nas od porozumień w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, ale marazm i opieszałość, ujawnione w toku przygotowania projektu reformy gospodarczej, wywołują w odbiorze społecznym szczególnie złowroźne odczucia. Jakżeż może być inaczej, gdy tak doniosły w skutkach dyskurs toczy się leniwie, odsuwając w nieokreśloną przyszłość działania mające zaważyć na losach narodu, a tu „czas leci i powstają fakty dokonane” (D. Passent). Dodajmy — nie dla dobra Rzeczypospolitej.

Najwyższy czas wyjść z zaczarowanego koła dyskusji, projektów i porażek do projektów: ten gordyjski węzeł kryjący w sobie zagadkę naszego losu powinien Zjazd przeciąć bez wahań i z pełnym poczuciem historycznej konieczności oraz odpowiedzialności. Nie wierzę w pożytek dalszych „dziewięćdziesięciu dni”; nie wykluczam, że może jeszcze sojusznicy udzieliliby odroczenia, ale takowe go nie użyczy historia. W atmosferze dalszego kunktatorstwa nieprzekonywające będą ewentualne poczynania w pozostałych dziedzinach życia społecznego, a samo pojęcie odnowy wyblaknie do szczytu i w ogóle straci swój sens, jeżeli problem reformy gospodarczej nie zostanie na Zjeździe postawiony jasno i w sposób budzący realne nadzieje na przyszłość.

Naiwne też są próby pomniejszania wagi tego problemu, np. uludnymi napomknieniami, że przecież „narod żyje nie tylko chlebem”. Pomijam już kontrargumenty z arsenału „odkryć” materializmu historycznego, skoro sam „argument” brzmi zgola obłudnie w czasie zagęszczających się kolejek przed sklepami, a także w czasie, gdy tędy specjaliści od zawilich spraw „polskiej ekonomiki” głoszą w środkach masowego przekazu (w tym wypadku przekonywająco), iż bez podjęcia natychmiastowych i radykalnych środków przeciwdziałania — rysuje się realna groźba upadku naszej gospodarki.

Wprawdzie obiecująco brzmią ostatnio zapewnienia czynników oficjalnych, że kompetentni specjaliści w przyspieszonym tempie poprawiają uprzednio sformułowany program reformy gospodarczej, ale opinia publiczna z napięciem czeka na ostateczne rozstrzygnięcie, jakie podjął ma Zjazd, umożliwiając w ten sposób — nareszcie! — przystąpienie do grubo opóźnionych działań w tej dziedzinie. Bez tego rozstrzygnięcia wszystko pozostaje pod dręczącym znakiem zapytania.

Na pewno Zjazd podejmie ważne decyzje w przedmiocie rozsądnej aplikacji demokratycznych metod w urzeczywistnianiu władzy państwowej, ale na ten temat tyle już obiecująco powiedziano i jest to chyba tak powszechnie oczywiste, że wystarczy tutaj przypomnieć tylko o tym aksjomacie, iż bez zrealizowania demokracji wewnątrzpartyjnej nie będzie do-

statecznej gwarancji urzeczywistnienia demokracji w systemie sprawowania władzy.

To wszystko, co wyżej powiedziano na temat konieczności i społecznej doniosłości decyzji IX Zjazdu w przedmiocie reformy gospodarczej w naszym kraju, nie powinno być odczytane jako pomniejszenie roli i ogólnospołecznej wagi decyzji dotyczących odrodzenia naszego życia kulturalnego oraz prawidłowego określenia zasad edukacji i reedukacji narodowej. Słusznie poddano krytyce dotychczasowy system kształcenia i wychowywania młodzieży, ale — jak dotąd — wszystko w tej dziedzinie toczy się po staremu. W praktyce też trudno oczekiwać czegoś innego, gdyż wypracowanie całościowego i wewnętrznie zharmonizowanego systemu nauczania i wychowania w duchu potrzeb zaprogramowanej odnowy i odrodzenia życia społecznego nie może nastąpić z dnia na dzień. Zwłaszcza w warunkach galimatiasu powstałego w okresie ostatniego dziesięciolecia. Jednak sprawa rzetelnego opracowania zasad takiego systemu nie może być bezkarnie odsuwana w przyszłość jako zadanie drugorzędne. Wiąże się to zresztą z ogólniejszą i istotniejszą sprawą, mianowicie z koniecznością przywrócenia właściwego socjalistycznemu humanizmowi systemu norm etyki społecznej; wiadomo przecież, jak dotkliwie spustoszenia moralne w naszym społeczeństwie posiały w ostatnim dziesięcioleciu obłudne praktyki rządzenia oraz w ogóle sposobu kształtowania stosunków międzyludzkich. Wszystko to uzasadnia oczekiwanie społeczeństwa, że i w tym zakresie IX Zjazd PZPR udzieli co najmniej podstawowych wytycznych.

I wreszcie uważam że zrozumiałe jest jedno oczekiwanie, dość konkretne i istotne dla praktycznej realizacji postulatów ogólnej odnowy. Na konferencjach wojewódzkich szeroko debatowano na temat gwarancji przestrzegania zasad demokracji, praworządności, rzetelnego starania o dobro społeczne, a także spełnienia legjonu postulatów, wysuwanych na przestrzeni ostatnich 10 miesięcy. Domagano się szeroko gwarancji instytucjonalnych, tj. zawartych w normach prawnych, niektórzy preferowali gwarancje rzeczowe, tj. tkwiące w neurojonych zdobyczach materialnych i duchowych społeczeństwa. Pamiętać przecież należy, że w ostatecznym rozrachunku gwarancje takie wywodzą się z ludzi: z ich postaw społecznych, z ich kwalifikacji, z ich ocen charakterologicznych. To te właśnie gwarancje są w życiu sprawdzalne. Dlatego całkowicie powinno być uzasadnione oczekiwanie, by delegaci wybrali na członków naczelnych instancji partyjnych odpowiednich ludzi. Przede wszystkim: stawiających dobro społeczeństwa ponad własne ambicje i interesy, kompetentnych, odważnych. W każdym razie nie tych, którzy łakną władzy dla władzy i własnego formalnego wyróżnienia.

Niech mi tu wolno będzie przytoczyć słowa zawarte w tzw. Ustawie Młodej Polski (jakby przyszałej konstytucji), której autorami byli postępowi emigranci polscy we Francji w 1834 roku. Art. 18 tej ustawy brzmiał: „Urzędy i pełnomocnictwa publiczne nie mogą być ani jako dostojęstwa, ani jako nagrody uważane, są one tylko powinnościami; wszystkie są dożeszne, z wyboru wypływające i odwołalne przez wyborców”.

Andrzej Burda

Małe jest dobre

Dokończenie ze str. 1

działalności. Idee kongresów nie są formułowane ad hoc, czy na podstawie intuicji.

IJK: — *Palac... Czy jego architektura i kubatura nie wzbudzały jakichś specjalnych komentarzy wśród gości z zagranicy?*

JJ: — Owszem, niektórzy wskazywali, że posadowiono go w takiej formie i miejscu, jakby miał czuwać nad Warszawą. Inna sprawa, że pałacowe pomieszczenia okazały się bardzo przydatne dla potrzeb kongresu.

IJK: — *O ile wiem, spostrzeżenia, opinie i wnioski, formułowane w czasie obrad poszczególnych grup roboczych kongresu, były niezadko dramatyczne.*

JJ: — Właściwie wszystkie stwierdzenia i refleksje, które miałam okazję usłyszeć, utrzymane były w tonacji dramatycznej. Pan Rogers z Wielkiej Brytanii powiedział wręcz, że mamy mało czasu, bardzo mało czasu, a może nie mamy go wcale, by stworzyć ludzkie warunki bytowania dla siebie samych.

IJK: — *A mówiąc konkretniej: jaka idea określała pozytywny program kongresu?*

JJ: — Powszechnie zgadzano się, że jedną z głównych dróg wyjścia z kryzysu, jaki sygnalizowało pozornie neutralne hasło kongresu, jest indywidualizacja oraz sprowadzenie budownictwa i architektury do ludzkiej skali, do możliwości psycho-fizycznych, uwarunkowań historycznych, kulturowych czy religijnych człowieka, niezwykłe przecież odmiennych w poszczególnych krajach i stronach świata. Krótko mówiąc, chodziłoby o uszanowanie wreszcie tego wszystkiego, w czym człowiek wyrasta z pokolenia na pokolenie. Tymczasem obecne budownictwo mieszkaniowe, przykładowo, jest niemal identyczne na różnych kontynentach; wszędzie dominują wielkie, standardowe bloki, złożone w anonimowe osiedla, w których dzieci — wykazały to badania naukowe — tracą wrażliwość estetyczną, a dorośli jakoś nie wykazują chęci do identyfikowania się z dookólną przestrzenią. Patrząc na sprawę pod kątem ekonomii, można by też zapytać, po diabła ludzie mają wznosić budynki z wielkiej płyty, jeśli są dobrzy cieśle, a w tym właśnie miejscu na Ziemi jest moc drewna budowlanego?

IJK: — *„Maszyny do mieszkania” nie wymyślił cieśle, lecz pewien słynny architekt.*

JJ: — Tak, ale to było dawno i w swoim czasie owa „maszyna” mogła zaspokajać ludzkie potrzeby. Dziś chcemy mieszkać w budynkach i osiedlach „z charakterem”, kameralnie.

IJK: — *Zamiast standardowych bloków, małe, a nawet jednorodzinne domki z ogródkiem? Czy stać nas na to?*

JJ: — Takie budownictwo wcale nie musi być droższe od wielkiej płyty. Zdajemy sobie przecież sprawę, że realizacja owej idei wymaga czasu, reorientacji myślenia u ludzi decydujących o polityce społecznej oraz znalezienia optymalnych proporcji między budownictwem a charakterem „wiejskim” a specyficznym dla dużych aglomeracji.

IJK: — *W warunkach polskich ten czas wydłużył się chyba beznadziejnie, ponieważ mamy oto głęboki kryzys gospodarczy, no i kilkadziesiąt fabryk domów, które po prostu są, będą i muszą produkować.*

JJ: — Musimy jednak uświadomić sobie, że jest to zło konieczne, które prędzej czy później powinniśmy zlikwidować. Technologia wielkopłytowa zwiększyła tempo budowania, nie jednocześnie spowodowała poważne straty w sferze ludzkiej osobowości. Jakość życia to także mieszkanie dające użytkownikom poczucie suwerenności, bezpieczeństwa i godności.

IJK: — *Pięknie powiedziane, mądrze pomyślane, ale istnieją przecież kraje, których obywatele nie mają nawet betonowego dachu nad głową i mało ich obchodzi subtelnie kreślone,*

humanistyczne wizje nowej architektury. Wiele daliby za to, by móc zamieszkać w czymś takim, co tworzy np. osiedle im. Marii Konopnickiej w lubelskiej spółdzielni, zwanej niegdyś „Słonecznymi Wzgórzami”.

JJ: — Faktycznie. Sytuacja Trzeciego Świata jest pod tym względem wyjątkowo skomplikowana i dramatycznie odrębna, o czym zresztą mówiono na kongresie. Te kraje cierpią ponadto na brak własnych architektów, którzy mogliby ewentualnie projektować budownictwo nawiązujące do lokalnej tradycji, a tym samym wolne od tych schorzeń, jakie występują w betonowym pejzażu rozwinętej cywilizacji technicznej.

IJK: — *Dziesięć lat temu, a może więcej, w środowiskach architektów i*



Fot. W. Stępień

urbanistów przebąkivano o potrzebie ponownego zbliżenia miejsca pracy do miejsca zamieszkania. Czy ta sugestia nie straciła aktualności?

JJ: — Wprost przeciwnie, takie powiązanie uważa się dziś za korzystne ze względów ekonomicznych i ekologicznych, mając oczywiście na uwadze zakłady nie uciążliwe dla otoczenia. Według informacji przedstawionych na kongresie, w ciągu całego życia człowiek spędza w miejscu pracy ogółem 9—10 lat, a w środkach transportu, którymi dojeżdża z domu do zakładu i odwrotnie — aż 2,5 roku, bo wiadome odległości są często bardzo znaczne. Rezultaty znane: szarpiący nerwy i sily fizyczne tłok w autobusach i wagonach kolejowych, „korki” na drogach, rosnące zanieczyszczenie środowiska naturalnego spalinami, ciągle zwiększające się zużycie ropy naftowej, której ceny nieustannie skaczą do góry.

IJK: — *Ośmielam się przypomnieć, że to właśnie pani koleżdy po fachu wystąpili kilkadziesiąt lat temu, w tonie kategorycznym, z pomysłem zdecydowanego oddzielenia miejsca pracy od osiedla mieszkaniowego.*

JJ: — No cóż, w naszych czasach, w okresie dewastacji środowiska naturalnego z jednej strony i kryzysu energetycznego z drugiej, koncepcja ta okazała się błędem. A poza tym, kto mógł wtedy przewidzieć eksplozję demograficzną? Widzi pan, myślenie architektów zmienia się równoległe z przemianami, jakie zachodzą w życiu.

IJK: — *Ale ciągle narzekacie, że wasza racjonalna i twórcza inwencja krepują czy wręcz deformują politykę i urzędnicy.*

JJ: — Bo to prawda. Tak jest zresztą na całym świecie. Oficjalnie przyznaje nam się wysoka range, ale w praktyce?

IJK: — *Czy tendencja do kameralizacji przestrzeni architektonicznej — że otworzą nowy problem — wiąże się*

tylko z budownictwem mieszkaniowym?

JJ: — Nie, obejmuje wiele innych dziedzin, m. in. służbę zdrowia. Powszechną niezgodę budzi na przykład ogromne, zablokowane budownictwo szpitalne, w którym chory traci swoją podmiotowość, staje się anonimowym elementem sterylnego systemu o naukowej nadbudowie.

IJK: — *Chwileczkę, czy do jednego worka można pakować nasze biedne, zdezastrowane, zatłoczone i odczuwające brak personelu oraz lekarstwo szpitale z placówkami wielu krajów wysoko rozwiniętych, gdzie sale są przestronne, sztuczna nerka rzeczą zwyczajną, a chory otrzymuje „basen” wtedy, kiedy go potrzebuje?*

JJ: — Szkolnictwo to kolejny teren wymagający swoistej rewizji: zaboleń przestrzennych. W grupie roboczej kongresu, która zajmowała się ową problematyką, podnoszono konieczność rezygnacji z klas liczących po 30—40 uczniów i zastąpienia ich kilkuosobowymi. W takich małych zespołach łatwiej bowiem nawiązać nauczycielowi bezpośredni, emocjonalny kontakt z dziećmi. Te zaś nie tracą poczucia tożsamości, czują się potrzebne...

IJK: — *Do takiej prawdy doszliśmy już dawno, na własną rękę, bez pomocy światowego forum architektów.*

JJ: — Referując wyniki badań socjologicznych, prowadzonych na różnych kontynentach.

IJK: — *No cóż, nie pierwszy raz socjologzy wynoszą jako rewelację to, co pokrywa się z potocznym doświadczeniem... Zaś małe klasy, naturalnie, dobra rzecz, ale wielkie pieniądze: na etaty dla zwielokrotnionej kadry pedagogicznej, na przebudowę szkół. Gdyby tak zamiast 25 miliardów dolarów dług Polska miała taką kwotę w rezerwie finansowej!*

JJ: — Widzi pan, opinie kongresu to coś w rodzaju posłania do społeczeństw i polityków świata, w którym zwraca się uwagę na ważne problemy współczesności i proponuje metody ich rozwiązania, póki nie jest za późno. Jeśli przynajmniej jego część doczeka się stopniowej realizacji, z pewnym optymizmem będziemy mogli patrzeć w przyszłość.

IJK: — *Pozwolę sobie zatem zejść na niższe piętra spraw i zapytać, w jakim stopniu i tempie realizowany jest program rewaloryzacji Starego Miasta w Lublinie? Pełni pani funkcję generalnego projektanta tej zabytkowej dzielnicy...*

JJ: — Program zakładał, że rewaloryzacja zakończy się w czasie 15 lat, jeśli wykonawcą będzie „przerabiał” rocznie 200 milionów złotych, licząc w starych, nieaktualnych cenach na materiały, robociznę itp. Tymczasem PKZ „przerabiają” 20—30 milionów w wiadomym okresie.

IJK: — *Prosty rachunek wykazuje więc, że Stare Miasto będzie gotowe plus minusz za 150 lat.*

JJ: — Proszę pana, nasze plany rewaloryzacji obszarów zabytkowych i odpowiednie koncepcje teoretyczne, które przedstawiono na wystawie towarzyszącej kongresowi, jeszcze raz udowodniły światu, że pod tym względem liczymy się w najtrudniejszej konkurencji. Polskie propozycje w niczym nie ustępowały zagranicznym, powiem nawet, że w działalności studialnej, przedprojektowej jesteśmy lepsi od innych. „Rozkładamy się” natomiast w stadium realizacji. A trzeba wiedzieć, że kwestia rewaloryzacji dawnej zabudowy stanowiła przedmiot szczególnej uwagi uczestników kongresu, co zresztą zrozumiałe w przypadku spotkania o takim charakterze: uświadomienie na sprawy szeroko pojętej kultury i kontynuacji historycznej.

IJK: — *Jak pani ocenia cały kongres?*

JJ: — Była to impreza wyjątkowo pożyteczna, dalekosiężna i mądra w swych wnioskach, świetnie przez Polskę zorganizowana.

IJK: — *Coraz częściej odnoszę wrażenie, że wzrasta mądrość i uroda myślenia współczesnych ludzi, a jednocześnie świat staje się bardziej brutalny i biedniejszy. Podobno przed zgonem człowiek dostaje nagłego oświecenia Prawdą — może jako gatunek znaleźliśmy się właśnie w stadium owej iluminacji, ostatniego nawiedzenia mądrością, której nie jesteśmy już w stanie spożytkować?*

JJ: — Jako architekt nie mogę i nie chcę ulegać takim sugestiom. Pan zresztą żartował, nieprawda?

IJK: — *Powiedzmy. Ale nie zaprzeczaj pani, że wiele wystąpień na kongresie miało sens zgola katastroficzny?*

JJ: — Prawda, ale nie kończyło się przecież tylko na takich diagnozach!

IJK: — *Dziękuję za rozmowę i porcję optymizmu.*

Ostatnia minuta

Ryszard Liskowacki

— Nie słyszałeś? Myj głowę, idziesz na Politische Abteilung... — Ja? — mógł się blokować trochę zdziwić, to i Bukowski nie musiał ukrywać zdziwienia. Ale natychmiast oprzytomniał, bo co tu było niejasnego? Stoją asaki, pracuje komora gazowa, dym krematorium, są lepsze i gorsze komanda, jest Lukasz, ale są i tacy, jak Wyderka, jak Galke, którym nie wystarczy, że zabijają, którym największą uciechą sprawa zbeszczeszczenia zwłok, jest rewir i jest Politische Abteilung. Wszystko dla häftlingów. Tutaj każda niejasność tylko pozornie bywa niejasnością. Wczoraj życie darowane przypadkowo, dzisiaj śmierć darowana bez przyczyny. Głową kiwnął, że zrozumiał, że wycofuje zdziwienie i zapytał prawie spokojnie: — kiedy? — Już... — odpowiedział blokowy, drapiąc się pod pachą. — Zaraz teraz, przed odejściem komand do pracy... — uzupełnił Abramek i głowę opuścił. Chyba nie ze wstydu, bo czego miał się wstydzić? Już raczej z żalu, że taki mocny typ, na którego można było postawić, jak na wyścigowego konia, przegra dzisiaj swą główną gonitwę. A postawić, by mieć złudzenia przynajmniej, że dla mocnych jakaś szansa istnieje. Może całkiem nie

przegra? Może tylko trochę przegra? Abramek uwierzył w Jana, gdy podczas wielkiej selekcji, w rewirze na drugim polu, Jan Bukowski Thumanna jakoś otumaniał i to był najprawdopodobniej z najprawdopodobniejszych cudów. A jeżeli cud zdarzył się raz, czy nie może zdarzyć się po raz drugi? I dlaczego ten drugi cud miałby ominąć na przykład Abramka, który był najlepszym świadkiem pierwszego cudu. Ale teraz zwątpienie zaczyna się rodzić, bo ten Jan idzie na Politische i wszelkie cuda mogą się rozplątać, jak dym z krematorium. No, idzie, a gdzie jest powiedziane, że nie wróci? Barak Politische Abteilung stał tuż przy drutach pierwszego pola, przed drzwiami baraku umieszczono tablicę z rzymskimi cyframi, żeby był w tym miejscu porządek, żeby häftling wiedział, gdzie ma czekać, aż go zawołają. Jan czekał przed tablicą z rzymską jedynką, gdyż jego oficjalnym światłem było pierwsze pole, nie rzymskie, ale jednak pierwsze. Abramek już dawno się ulotnił, komanda już dawno wymaszerowała do pracy, a Jan czekał i najgorsze było właśnie to, że miał tak dużo czasu do rozmyślań. Do baraku wchodził i wychodził esesmani, rozmawiali o

sprawach najróżniejszych, umawiali się na wizyty po służbie, przekazywali sobie informacje o białej Lindze, jest ona znacznie lepsza od Hildy, bo pozwala na różne sztuczki. Któryś się cieszył, że otrzymał tydzień urlopu, któryś cieszył się jeszcze bardziej, że otrzymał list od żony i że wszystko jest w porządku chociaż Anglicy bombardują prawie w każdą noc, a Jan czekał. Te rozmowy rozciągały się o urlopie, o dziwkach, o żonach, stawały się jego sprzymierzeńcami, bo teraz lepiej było słuchać głupich, obcych rozmów, niż własnych myśli. Ale myśli nie chciały ustąpić, było w nich coraz więcej strachu, dopominały się o prawo do samodzielnego istnienia, bo skoro człowiek jeszcze żyje dlaczego jego myśli mają zdychać przed czasem? Nogę bolała od długiego stania kręgosłup boli, drętwieje, gdyż przed tą tablicą trzeba się prostować na baczność. Myśli też bolały i mają takie prawo. Czas najwyższy żeby Jan to sobie wymyślił. Dlaczego mnie wezwali? Czy to sprawa z Zamością? Stara sprawa, nic z niej nie zostało. Brzeski zdążył zgnieć w ziemi: młody łącznik — jak on się nazywał? — też dawno w plachu. Przysypana udeptana sprawa. Nie zgłosiłem się wtedy gdy rejestro-

Luis de Rosa

KSIĄDZ

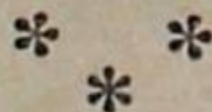
Ksiądz nie jest z nami
cośmy mu zrobili? dlaczego?
jest z tymi którzy posiadają
może je i pije
Mamy brudne ręce
chodzimy w pole, musimy jeść;
czy on to wie?
do kościoła nie chodzimy
więcej niż raz
nie chodzimy
Ty, czy Chrystus, wiecie o tym
Nazywa mnie marksistą
jestem grzesznikiem
gdyż on tak powiedział
„jesteś komunistą” mówi
a ja nie mam co jeść

(maj 1965)

Z włoskiego przełożył Jerzy Wieluński

LUIS DE ROSA — postępowy poeta średniej generacji żyjący we Włoszech więziony za przekonania polityczne. Pięć w oczystym języku albańskim i sam tłumaczy swoje wiersze na język włoski.

Krzysztof Derdowski



Czasem jak mrówka chodzę po swoim mózgu
Tę nie jest ból lecz laskotanie
Krajobraz księżycowy i duszno
Zdarzy się ślad wytwornej, cywilizacji:
Noż powiedzmy, jakha jakaś
Kobieta naga powiada
I bohaterstwo według antycznej miary
Cierpliwie zgłębiam ramki tego kontynentu
Między rzpilkami do włosów a miejskimi światłami
Znajduje nierzadkie tejkowate przejęcie
Nie wiadomo dokąd

Zenon Dunajczyk

ROZMOWA Z JANEM

Kim jestem wobec słowa co twoje ślady znaczy
Jaką miarę znajduję dla własnej śmiałości
Ze mi dziś jeszcze w gardle mowa nie usycha
I w języku zalega szczupła uległości

Dokąd idę, nad jaką nie zatrutą rzekę
Co by rybą płynęła w dawne przypomnienie
Z czego mam się spowiadać do czego przyznawać
I dla jakiego słowa szukać ocalenia

Nie wiem czy mnie ironia po latach rozgrzeszy
Za dzisiejsze bojaźnie, ucieczki, niewiary
Nie odmówi ust słowom i uszu słuchaniom
Z milczenia nie uczyni największej ofiary

Tomasz Skrzymowski

WIERSZ

Błądzą w ruinach światła które jest ostoją
wrażenia snu ukrytego w wersie

Jeśli mam stworzyć z cienia obraz słowa
potrzeba mi wielu zapomnianych oczu

Ale pamiętam tylko deszcze tamtych oczu
westchnienie powoli spływające w dłoń

I składną drobną metaforę zamkniętą przed wiekiem
w uwerturze objętej ścianą powiek

Trzeba mi także odrobiny pokory w myślach
aby przebić wierszem gościa zaszytę oczu.

DEBIUT

Ewa Dąbrowska

WCIAŻ JESZCZE W DWÓCH KOLORACH

Chociaż tak bardzo nie lubisz wybierać,
Natrącasz przecież na tę godzinę,
W której dwójakość świata przejrzysz się jak w lustrze,
I to, co nazywałeś kolorową mozaiką,
Uprości się do barwy, dnia i nocy,
Jeśliś myślał, iż ulepiono cię z jednej gliny,
Przekonasz się, że i tu użyto dwóch różnych gatunków.

Składam się z dwóch części,
Skłóconych z sobą jak niegrzeczne dzieci.
Polamano mnie wczoraj
Oddzielono rozum od woli,
A serce od duszy
„Czynię to, czego nie chcę,
To właśnie czynię”.

Liczę się tylko te chwile,
Kiedyśmy rozbić rozplataną,
Niepogodzeni z sobą
Bolesne, bolesne do teń,
Tylko one noga coś zmienić.

Tak ogrodnik rozcina gata,
By nowy pęd w nią zarzępić.

Co mnie uwiera?

Rozmowa z Janem HIMILSBACHEM

MIROSLAW DERECKI: — Przez wiele lat znałmisię, się przede wszystkim jako kamieniarza i literata autora „Montida” i „Przepychanek” weszły do tych książkowych zbiorów. A tu nagle objawiasz się jako człowiek kina: aktor, scenarzysta filmowy. Skąd to nagle miłość do ekranu? A może zawsze po cichu marzyłeś o filmie?

JAN HIMILSBACH: — Eee, tam! Nawet do kina nie chodziłem. Nie chciało mi się, nie miałem czasu. W teatrze byłem półtora raza wiesz? Po raz pierwszy na „Tragedii optymistycznej” w 1954 roku. A później, z Anną Schiller, córką Leona Schillera, poszedłem do Teatru Ludowego i w połowie żemni wyszli. Więc masz właśnie półtora raza.

M. D.: — Dlaczego wyszliście?

J. H.: — Była zła gra aktorska i sama sztuka jakaś taka pieprzona, do niczego nie podobna.

M. D.: — Z tym Teatrem Ludowym to też było w 1954 roku?

J. H.: — A nie To — gdzieś w 1972. Siedemdziesiąt jeden — siedemdziesiąt dwa, tak na przełomie...

M. D.: — I od tamtej pory nie chodzisz do teatru?

J. H.: — Nie. Po co?

wano oficerów rezerwy, ale to już wyszło podczas przesłuchania w zamojskiej Rotundzie. Wiem, ten młody łącznik to przecież Kortas Dobrze, że sobie przypomniałem. Po co? Rany boskie może znaleźć w komórce pistolety? Albo Witold znalazł i kochał się pochwalić, a gdy go później przycisnęli w Gestapo... Witold. Ile on ma teraz lat? Ile było pistoletów? Dwa, chyba dwa. I cztery granaty. I chyba cztery. A może Thumann nagle sobie o mnie przypomniał? Gdyby nawet, to po licha mu takie różne ceregiele? On nie potrzebuje zabawy w Politische Abteilung — Sie hat zwei wunderschöne dunkelblaue Augen und einem Bubikopf... — to rozmazany głos esesmana, który wchodzi do baraku. A Jan czeka Ciemnoniebieskie oczy? Właśnie takie ma Irena — zdążył jeszcze o tym pomyśleć i już go popchnęli, aż się potknął na schodkach, prawie upadł, uderzając głową w ścianę korytarza. Taki był początek Uchylone drzwi, trzeciej po lewej stronie, zapraszały go na dalszy ciąg spektaklu i tyle tylko wiedział, zanim próg przekroczył, że bez względu na to, kto go zza biurka przywita, untersturmführer, czy nawet hauptsturmführer, on Jan Bukowski, wystąpi tu w roli głównej. Najpierw zobaczył do połysku wyczyszczone oficerki, potem zobaczył biurko, na którym leżała teuszka z aktami, gruby bambusowy kij, spojrzął na młodego, barczystego obersturmführera i zameldował swoje przybycie. Obersturmführer zajął do teuszki, przetrząsnął niedbale kilka zadrukowanych, zapisanych kartek, jakby dopiero teraz zapoznawał się ze sprawą Bukowskiego, i miał minę obojętną, jakby w tej sprawie nie było żadnych rewelacji. I Jan z nadzieją zaczął się w esesmana wpatrywać. Ta nadzieja była jeszcze przez dwie, trzy minuty, bo tyle potrzeba było czasu, żeby wyjaśnić podstawowe formalności. — Jan Bukowski, uro-

dzony w Gorzkowie, powiat Krasnystaw, w tym czasie dziewięćdziesiąt szóstym roku? Zamieszkały w Izbie? — Tak jest. Z jaką ochotą to krzyknął, z jaką nadzieją przyznawał się do siebie. A obersturmführer zapytał spokojnie, czy häftling życzy sobie tłumacza i Jan odpowiedział, że tłumacz nie będzie potrzebny. Wtedy oficer podniósł się ociężale z krzesła, wyjrzał przez okno, a gdy znowu na Jana spojrzął, wszelka nadzieja umarła w jednej sekundzie. — Ty śmierzający świnię psie, ty żydowski komunista... — ryknął z taką mocą, z takim przejęciem, że cała twarz mu się nagle odmieniła, że nie był już tamtych obersturmführerem, któremu Jan się przyjrzał wchodząc do pokoju — ty gnojarczy zasran, ty królu żydowski, strąć ci dzisiaj koronę i razem z koroną zawieszony leć ci spadnie. My ciebie tutaj karmimy, uczymy cię pracować, a w twoim domu, w Izbie, żydowski przytulak od dawna był zrobiony. Mówię do ciebie, a ty jeszcze słuchaj, bo za chwilę niczego już nie usłyszysz. Ziemię już gryzie cała twoja śmierzająca rodzina, poszła do ziemi z tymi Żydami... — Genug! — zawołał z rozpaczą Jan i zanim pierwszy cios spadł na jego głowę, zdążył jeszcze dodać z boleścią, ale już także z nieprzytomną nienawiścią — ihr Mistvieher ihr Banditen... ja, ja, das ist schon Ende... Deutschland kaputt! Z rozbitej pałką bambusowa głowa zaczęła się sączyć krew. Jan leżał już na podłodze i chociaż uderzenia spadały na niego coraz silniejsze, coraz bardziej wyrafinowane, prawie tego nie czuł. Ten ból największy spadł bowiem na Jana jeszcze przed pierwszym ciosem, więc bambusowa laska, a nawet pręt stalowy nie już teraz nie znaczący. Aż w jakimś momencie odzyskał świadomość. Do krwi własnej, która w podłogę wsiąkała, do tej krwi

przyznając się jękiem i językiem tę krew zlizując, wyszeptał, wycharował to, co kiedyś przekazywał Thumannowi w imieniu zabieranego na „dwudziestkę“ häftlinga, a co teraz chciał przekazać wszystkim w swoim własnym imieniu: — es Lebt ein Gott zu strafen und rächen. Może obersturmführer nie usłyszał zbyt dokładnie tej mało groźnej wypowiedzi, zaczął jednak walić leżące ciało z jakimś nowym przyływem sił. I nagle odezwały się gongi oznajmiające obiadową przerwę. Obersturmführer przerwał pracę, a ściślej mówiąc, już ją zakończył i zawołał, oddychając ciężko: — Hans, komm hier! Wszedł prawie natychmiast młody, wyglądający jak licealista, sturmmann. — Aus dem lager zurück... — powiedział oficer, pokazując buchem na skurczone, wymięte wykrwawione ciało Jana — vorsicht, vorsicht. I prawie jednocześnie zaczęli się śmiać. Sturmmann złapał leżące häftlinga za nogi, pociągnął żwawo przez korytarz, wywiłkił za próg baraku i zostawił tuż przy tablicach z rzymskimi cyframi. Komanda gromadziły się w pobliżu kotłowni, dobre komanda, zle i te najgorsze czekały na brukwiową lurę. Dla kogo chociaż dzisiaj życzyłwa, ten znajdzie w swojej misce nie tylko kawałek zgnitej brukwi, lecz także strzępek, włókno prawdziwego mięsa. A tu leży Jan. Koniec. Cała ta historia, która była, jest i jeszcze będzie, nie ma już dla Jana żadnego znaczenia...

(Fragment powieści: „Żywoć wieczny”)

M. D.: — A do kina?

J. H.: — Też nie.

M. D.: — Ale kręcisz filmy, piszesz scenariusze!

J. H.: — Kręcę, piszę.

M. D.: — Więc jak to właściwie jest: lubisz kino, czy nie lubisz kina?

J. H.: — Lubię. Tam są, wiesz, fajni ludzie. Fajni ludzie są. Ci, co robią filmy. Coś się tam dzieje. Robienie filmu to wspólny wysiłek, wspólna robota. To mnie najbardziej interesuje w filmie: ludzie są zafrapowani robotą. Chca razem, wspólnie zrobić coś dobrego. Czasami się nie udaje. Nie wychodzi. Ktoś się wtrąca z zewnątrz. Wszyscy w ekipie chcą dobrze. A tu się jakiś urzędas wpięprza, rozumiesz? Człowiek na stanowisku. I psuje.

M. D.: — Występowaleś w kilku-dziesięciu epizodycznych rolach filmowych...

J. H.: — Było ich chyba z pół setki. Ostatnio grałem harmonistę w „Filipie z konopi”, odtwarzałem postaci Kazimierza ora, kamieniarza w „Białym tangu” wkrótce będę kelnerem w filmie Stanisława Jędryki „Droga na pla” słoneczny”. A dużą rolę jedną z czołowych zagrałem w dziesięcioczęściowym serialu telewizyjnym Raoula Piwowarskiego — „Jan Serce”.

M. D.: — To brzmi prawie jak: Ryszard Łwie Serce...

J. H.: — A jest zupełnie współczesna historia obyczajowa. Taka z elementami komediowymi. Mówiąc w trzech słowach: historia faceta takiego synka mamusi, który bardzo chce się ożenić i wciął mu to jakoś nie wychodzi. Ma on jeszcze trzech kumpli, a razem wszyscy czterej są kanalarzami. Ci czterej kumple zakładają drużynę piłkarską „Nasza Włia”. W tej drużynie ja jestem trenerem. A nazywam się Józef Kieliszek. Zresztą to będę dokładnie opowiadał. Dokładnie obejrzyj to sobie we wrześniu, jak serial wejdzie na ekrany.

M. D.: — Antoni Krauze zrobił kiedyś doskonałą telewizyjną adaptację „Monida” wkrótce w kinie. Obejrzyj na ekranie „Party przy wiecach” tegoż reżysera według twojego scenariusza — byłeś współscenarzystą niektórych filmów Kondratiuka...

J. H.: — Z Gruza napisałem scenariusz „Przyjęcia na dziesięć osób”: poszło w telewizji, ale z oporami, dwa razy cietę przez cenzurę.

M. D.: — No, niestety obraz pewnej części społeczeństwa tam pokazałeś!

J. H.: — Niesłodka, ale prawdziwa. Bo ja nie lakieruję, ja mówię prawdę. Napisałem kilka jeszcze innych scenariuszy — nie oiora. Do realizacji. Czy to jest, pytam, uczciwa gra? Leży w

piwnicy u mnie kilka maszynopisów książek. Nie wzięli do wydania. Czy to jest uczciwa gra? A więc co mnie przeszkadza w mojej twórczości, co mnie w życiu uwiera? No, co? Uczciwość.

Leżała przez kilka lat książka, zbiór opowiadań, „Łzy soltysa” teraz może wrzescie, po szeregu zapowiedzi, opuścić mury drukarni. Leży w maszynopisie książka „Zatopione skały” — powieść o chłopakach z poprawczaka. Nie wzięło żadne wydawnictwo; podobno „za mocno” postawiony problem. Leży powieść „Żądam prokuratora”. O Marianie Buczku. O człowieku a nie: o postumencie...

I mówię się, że Himelbach nie pisze. I mówię się, że Himelbach się zapija... A jak tu coś robić jak żyć między tym wszystkim? Trzeba lawirować, aż mózg staje. Ale ta oto pani, moja żona, Basia, głodna nie chodzi.

M. D.: — Pierwszy raz zagrałeś w filmie trzynastce lat temu w „Rejsie” Marka Piwowarskiego. Wychodzi na to, że właśnie Piwowarski odkrył cię dla kina?



Fot. R. Hryciów

J. H.: — Na odwrót: ja go, w pewnym sensie, „odkryłem dla filmu”. To było tak: Marek skończył najpierw studia dziennikarskie pracował w „Nowej Kulturze” pisał reportaże... Pamiętasz Alicję Lisiecką, co to była za baba? No więc Lisiecka wyrzuciła Piwowarskiego z „Nowej Kultury” i on nie bardzo wiedział co ze sobą zrobić. Mówię raz: „Marek, co ty tutaj łazisz, idź do szkoły filmowej, jest nabór kandydatów”. Jemu nawet to przypadło do gustu. Tylko martwił się, co będzie z egzaminem. Bo on uważał nie bardzo znał się na perspektywie. A perspektywa jest ważna dla filmowca

i na egzaminie na to zwracają uwagę. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak ten problem rozwiązać. Wtedy pojawił się plastyk, Rysiek Warsiński, i powiedział: „Nie ma sprawy. Ja mu pokażę, Piwowarskiemu, co to jest perspektywa, jak mi postawi litr wódki”. I tak się stało. Pokazał. Na tyłach ASP. Pamiętam dobrze.

Jak Marek Piwowarski wybierał się na egzamin, powiedział: „Jasiu, jak ja będę robił pierwszy film, ty będziesz w nim grał”. No i zagrałem w „Rejsie”. No i tak się zaczęło...

M. D.: — „Rejs” został nakręcony już po ukazaniu się w druku „Monida”?

J. H.: — A tak, tak. To już było po „Monidie”.

M. D.: — Kiedy napisałeś swoje pierwsze opowiadanie?

J. H.: — W 1954 roku. Ale ja właściwie zacząłem wcześniej. Od wierszy. Trzydzieści lat temu zacząłem pisać wiersze. A pracowałem wtedy w kamieniu. Najpierw — w państwowej firmie Odkuwałem rzeźby na MDM-ie, robiłem przy Kolumnie Zygmunta, na Starówce, w Instytucie Szopena na Tamce. Kamień, wiesz, trzeba czuć, on jest żywy, ma serce, trzeba umieć do niego podejść a nie — tylko łomotać. Potem oyla prywatna firma domnikowa pana Cybulskiego. Tak, przy kamieniu zostawiłem pół życia... Wiesz, ten poennik Aliny Slesieńskiej, co tam u was na Lubelszczyźnie w Naleczowie przed Pałacem Małachowskich, ja też odkuwałem z gipsowego projektu i ja tam, w parku ustawiałem... No, ale mówiliśmy o wierszach. To były złe wiersze. Wiem to, było bardzo złe. W 1954 roku napisałem swoje pierwsze opowiadanie. Miało cztery strony tytuł: „Przygoda sentymentalna”. Nigdy nie ukazało się w druku. Siedliśmy ja, Tadeusz Drewnowski i Marek Hlasko, siedliśmy nocą pod Kopernikiem, i Hlasko powiedział: „Kurwa, dlaczego ja takiego opowiadania nie napisałem?”

„Przygoda sentymentalna” to była taka historyjka z terenu Warszawy, ale tytuł dał temu opowiadaniu w Krakowie, Irek Iredyński. A do „Przeprzekanki” wymyślił tytuł Michał Sprusiński. Nieboszczyk już cieszę! Zawsze samotny taki... Czterdzieści lat, i już — koniec. Taki młody...

M. D.: — Na początku lat pięćdziesiątych wykreowano cię na literata-robotnika, bo to było modne i komuś potrzebne do swoich pomysłów koncepcji kultury. A potem równie intensywnie zaczęto głosić tezę, że byłeś tylko jedną z ofiar socrealizmu, że ci zrobiono krzywdę pasującą na literata, i że się „ożyczyłeś”. Życie pokazało co innego. Ale wtedy nawet wielu twoich przyjaciół myślało w podobny sposób...

J. H.: — Przyjaciele są różni. Ja mam szczęście, że ja nie chodzę i nie szukam przyjaźni — więc się i potem nie

zawodzę — to przyjaźnie do mnie przychodzą. I tutaj trzeba powieścić o Arnoldzie Ślucim. Bardzo porządny człowiek. On mi pomógł najwięcej. Kazał mi się uczyć. Posyłał mnie do szkoły. Załatwił mieszkanie, stypendium... Wszystko, co można zrobić dla młodego chłopaka. A inni to: Halinka Matusiak z kadr w ZLP, kelnerka Stasia z tamtejszej stolówki, Joasia Kryśia Muchowicz, później — Witk Parczewski...

Skąd znajomość z Arnoldem Ślucim: napisałem wiersz i zaniósłem do „Expressu Wieczornego”. Ale tam mi powiedziano, że oni wierszy nie drukują, i że bym nie robił błędów ortograficznych, natomiast młodymi ludźmi piszącymi wiersze zajmuje się Koło Młodych przy ZLP. Opiekunem koła był wtedy Arnold Ślucik. Zajął się mną jak synem, dał nawet własne ubranie. Ten wiersz — co z nim przyszedłem do „Expressu Wieczornego” — wydrukowałem potem w „Piomyku”. Bo to był wiersz dla dzieci. Taki był mój debiut.

A teraz jeszcze o „kończeniu się”: mnie ciągle uśmiercają. Albo jako pisarza, albo nawet — jako człowieka. Jak w ubiegłym roku nie przyjechałem do Łagowa na Lubuskie Lato Filmowe, bo kręciłem „Jana Serce”, rozeszła się plotka, że umarłem. A ja żyję. I jeszcze pożyję.

M. D.: — Mówiłeś na początku naszej rozmowy, że uwiera cię w twoim życiu nieuczciwość ludzka. Co jeszcze cię uwiera?

J. H.: — Ciasne buty, które można porównać do życia. Tępotą, głupota ludzka. To — na początek. Chciałbym też, żeby dla każdego człowieka były tak szerokie ulice, żeby się w nich mógł zmieścić. Chciałbym też, żeby na co dzień, a nie — od święta, były kwiaty. Nie tylko dla kobiet, ale także dla dzieci. I dla mężczyzn, którzy są poniewierani przez dzieci, kobiety i paragrafy. Mężczyźni od czasu do czasu też się należy uśmiech. Chyba tak kochany. W ogóle ludziom się należy uśmiechy i kwiaty. I koniec. A uśmiech to znaczy dać człowiekowi spokój i pozwolić mu robić, co chce, co potrafi i na co go stać. Wtedy będzie wszystko w porządku.

A jeszcze o uwieraniu: człowieka zawsze będzie coś uwierało. I to jest dobrze, bo to daje napęd. Bardzo źle, kiedy człowieka nic nie uwiera.

O autentyczność filozofii

Maria Magdalena Rudiuk

W sprawach sumienia uprawnienie stwarza obowiązki, w sprawach intelektu możliwość po-
ciąga za sobą konieczność.

T. Kotarbiński

ISTNIEJE wielka rzesza osób rozmyślających o życiu godziwym. Członków tej nieregularnej społeczności niepokoją trzy główne problemy: (1) jak postępować, by nie zasłużyć na osąd ujemny ludzi godnych szacunku, lecz przeciwnie, pozyskać ich słuszny szacunek; (2) by nie popaść w nieszczęście i ustrzec od nieszczęść istoty bliskie sercu i tak pokierować sprawami, by nam i im warto było żyć; (3) by wreszcie nie było tak, że nie wie prawica, co czyni lewica, a sprawca działań to obraz nieporadności, lecz przeciwnie, by wszystko, co się czyni, układało się w sprawną całość — pisze Tadeusz Kotarbiński w „Medytacjach o życiu godziwym”.

W okresie „rozliczeń” i ciągle jeszcze burzliwych dyskusji, również nad polską nauką i kulturą, istnieje niepokojąca tendencja do generalizowania ocen, której efektem jest odrzucenie wszystkiego co było przed sierpniem. Ta totalna negacja łączy się z przyjęciem formuły, że wszystko, co autentyczne, społecznie pożądane, zaczęło się dopiero w sierpniu. Przyczyną na taki sposób myślenia byłoby wręcz tragicznym nieporozumieniem, przecież twórcy tego wielkiego przełomu urodzili i wychowali się właśnie na tej ziemi i w tej kulturze, nie wszystko więc w niej jest godne tylko potępienia, skoro zrodziła taki czyn jak POLSKI SIERPIEŃ. Nie popadajmy więc z jednej skrajności (propagandy sukcesu) w drugą — propagandę totalnego upadku. Nie budujmy znowu nowego ładu — jak dotąd „nowy ład” tak w okresie postalinowskim, jak pogomułkowskim, oznaczał tylko „nowe ołtarze” — na przysłowiowych zgliszczach przeszłości, bez realistycznej i precyzyjnej analizy tego, co było w niej dobre i złe. Ta analiza jest niezbędnym warunkiem dla rozpoznania i zrozumienia pozycji startowych Odnowy. Fascynacja sierpniem powinna chyba nie tylko nie przesłaniać o-

bięktwizmu wobec przeszłości, ale wręcz implikować krytyczny (a nie fanatyczny) stosunek do czasów przed, ale też po sierpniu. W ferworze dyskusji dobrze byłoby pamiętać o ludziach, których nawet w najgorszych latach stać było na krytycyzm, na głoszenie niepopularnych poglądów, o ludziach, którzy ochronili w naszej kulturze od zupełnego zatracenia sens takich słów jak: indywidualizm, wolność, obiektywizm, honor, odpowiedzialność. Stanowili oni, niestety, tylko „podskórny” nurt w oficjalnej kulturze, teraz nadszedł czas by o nich mówić, oddać tym samym należne im miejsce w kulturze narodowej. Dzięki nim możemy mówić o tym, co określa się ciągielnością kulturową narodu.

Wśród niezależnych, tak w sprawach intelektu, jak w sprawach sumienia, profesor Kotarbiński zajmuje jedno z czołowych miejsc. Przypomnienie jego postaci wydaje się tym potrzebniejsze, że powszechnie znany jest zarzut, iż filozofia w PRL pełniła przede wszystkim funkcje apologetyczne, a nie właściwe jej krytyczno-poznawcze. Tymczasem ocena społecznych realiów obecna jest zarówno w dorobku naukowym, jak też publicystycznym Kotarbińskiego. Zyskuje też wyraz w jego twórczości literackiej:

Pogodny będzie ustrój, lubo dziś
ponury!
— Hm... Stworzyłeś piekielko,
obiecujesz Eden...
Zastanów się i powiedz, czyli znasz
choć jeden
Portret, co by przeróbką był
karykatury?
(1949)

Jakie zadania przypadają filozofowi? Prof. Kotarbiński odpowiada „Filozof [...] uprawia myślicielstwo, doskonalić [...] pojęcia, twierdzenia i systemy twierdzeń i czyniąc to głównie przez wysiłek wewnętrzny, zmie-

rzający ku zrozumieniu właściwej intencji myśli szukającej po omacku, ku racjonalniejszemu ukształtowaniu problemów [...] Toczy on walkę z mętnością, chwiejnością, płątaniną myślenia, uzbiera się przeciwko wszelkiej w myśleniu nietrzeźwości, jakże częstej skutkiem ulegania zatwardziałości przesądowi lub ponętności dla serca u ludzi, lub stronniczości wreszcie, która wyrasta z sytuacji osobistej lub społecznej samego myśliciela...”

Napisał te słowa w 1947 roku, kiedy, powołany na stanowisko rektora organizującego się Uniwersytetu Łódzkiego, charakteryzował filozofię jako jedną ze specjalności zawodowych, do których musi przygotowywać uniwersytet.

Jaką funkcję ma spełnić wobec studenta uczenia? Kotarbiński podjął wtedy i to pytanie: „Uczelnia zaprawia studenta do tych zmagaj przykładem, radą, krytyką, poddawaniem rozwiązań. Nadto poucza go w dziejach filozofowania. A czyni to nie w tym celu głównie, by z nich wy dobyć prawdę wspólnie ustaloną. Pragnie ona raczej uczynić ucznia wytrwałym przez zaznajomienie go ze szkopolami, o które potykali się w ciągu wieków najtępsi nawet myśliciele, zdążając w poście czoła per aspera ad astra”.

Praktyka lat (a właściwie miesięcy) późniejszych okazała się zgola odmienną, bo oto zaczęły obowiązywać prawdy nie tyle „wspólnie” ile o d g ó r n i e ustalone. Kotarbiński reaguje jednoznacznie:

Diabeł-szpieg charczał szeptem do
starszego diabła:
Widziałem. Człowiekowi prawda w
ręce wpadła.
— Nic to! — odskrzytał chytrze,
pomyślałszy trzeźwo:
W węzłach organizacji prawdę diabli
wzwmq!
(1952)

Niebawem Kotarbiński przestaje być rektorem UL, a jego teorie filozoficzne, uczące sterować życiem, wymagające trzeźwej i racjonalnej postawy wobec rzeczywistości, krytycyzmu i odpowiedzialności, zostają uznane za... zębne dla młodzieży. W okresie najbujniejszego stalinizmu musiał nawet opuścić mury Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie wykładał od 1919 r. W czasach postalinowskiej odnowy wraca na tę uczelnię; w latach 1957-62, a więc przez dwie kadencje, jest prezesem PAN, pełni również szereg innych zaszczytnych na polu nauki i kultury funkcji (miedzy innymi jest w latach 1960-63 prezesem Międzynarodowego Instytutu Filozoficznego). W roku 1960 przechodzi na emeryturę, nie przestając kontynuować pracy naukowej.

W jednym z najbardziej popularnych artykułów, opublikowanym w 1958 r. pt. „Jak zacząłem filozofować, jak filozofuję i jak innym radzę to czynić”, Kotarbiński stwierdza, że ze wszystkich istniejących współcześnie kierunków marksizm „jest bodaj najtrzeźwiejszy”, aczkolwiek dalej pisze: „Osobiście jestem daleki od marksistowskiego dogmatyzmu [...]”. Gdyby mnie ktoś zapytał: jeżeli chcesz wyrobić sobie rozumny pogląd na świat [...], co studiować jako bazową literaturę, odpowiedziałbym, że w dzisiejszej chwili dziejowej i w obecnym miejscu na świecie, w jakim znajduje się Polska, kiedy urzędowania społeczne są tak bardzo związane z ideologią marksistowską, najważniejszym jest studiować ten prąd jako główną podstawę, byleby tylko nie dogmatycznie, lecz z całkowitą samodzielnością myślenia, z całkowitym wyzbyciem się elementów kulturowych, rozumiejąc, że z innych prądów, które są dzisiaj na świecie, każdy ma do powiedzenia wiele rzeczy słusznych, których marksizm sam nie daje. W ten sposób studia prowadząc, można dojść do poglądów stosunkowo najtrzeźwiejszego”.

Należy pamiętać — przestrzega w artykule „O urabianiu poglądu na świat i życie” — iż „z doktrynami hodowanymi pod ochroną przywileju słowa dzieje się tak, jak z produktami przemysłu w systemie cel ochronnych: wolne od współzawodnictwa z importem, tracą impet do doskonałości i muszą schodzić z placu pod naporem lepszych fabrykatów, skoro granica stanie dla nich otworem”. Dlatego też — postuluje dalej — niezbęd-

WTEDY, W LIPCIE...

Dokończenie ze str. 1

szar pokryty jakimiś blachami, więc nie wiadomo, czy rozminowany — to przecież ja. Ale lażem tak długo, ponieważ normalne życie miejskie na dobrą sprawę wtedy jeszcze się nie zaczęło, ponadto należało przede wszystkim nawchłaniać w siebie, ile się dało, tego zdumiewającego pejzażu wolności. Połamane słupy, poplątane druty, usmażona w ogniu farba futryn i drzwi — to rzeczywistość, jak najgłośniejszy krzyk o swoim odchyleniu od normy, ale to przecież wolność. Więc i z tymi wyrwanymi płytami chodnika, i z rozbitymi szybami witryn, i ze zniesionymi przez armatnie pociski fragmentami budynków zawierało się braterstwo. Braterstwo broni. Dlatego nie od razu stanąłem przed obliczem Putramenta.

A stanąłem w grupie młodych literatów i intelektualistów, pociągnięty przez nich jak do odpowiedzialności. Tak, znajdowałem się w takim stanie psychicznym. W sumie dziwny to był stan, bo składało się nań jeszcze i uczucie radości, i zdumienie, i podejrzenie, że to się śni. Ale fragmenty snu coraz częściej okazywały się rzeczywistością, tak więc przyjąłem, że i rzeczywistość może być fantas-

tyczna. Czy nie była? Oto przedstawiciele władzy, czołowi pisarze polscy, osoby znane i wybitne, jadają w tej samej kawiarni, a nawet interesują się tym, co niewypierzony lubelski gawron literacki ma aktualnie na warsztacie. A kiedy później przyszło do wspólnego obiadu, gawron był święcie przekonany, że otrzymał nominację na członka Polskiej Akademii Literatury. Wtedy uznał, że nie doceniał sam siebie, ale niech no upłyń nie co nieco czasu, a sypaną się poema, drama, essay'e i dysertacje, które polskiej literaturze przyprawią skrzydła i motor.

A jak było z obliczem Putramenta? No, oblicze to jeszcze nie było, przynajmniej dla mnie, nie orientowałem się wówczas co do jego niegdysiejszego udziału w wileńskiej grupie poetyckiej „Zagary” (któż by przewidywał, że wywidzie się z niej laureat Nobla), ale stopień kapitału i funkcja zastępcy naczelnego „Rzeczpospolitej” swoje znaczyły. Szczególnie, że ten kapitan miał całkiem inne, miękkie, jakby baletowe buty, nie jakieś tam saperki z ceratowymi cholewami, nożonymi wówczas w wojsku powszechnie, a nasuwającymi skojarzenia raczej z pracą na roli, niż z zajęciem militarnym. W każdym razie Putrament (jak to się rozeszło?) należał do tych, o którym wiadomo, że decydują o pozycji pojedynczego człowieka w układzie stosunków społecznych zaczynającego się państwa. Był

przyjętym przez niego, to jakby użył audyencji u prezesa koncertu, prezydenta, jeśli nie... papieża.

Więc zostaliśmy przyjęci we wspomnianym gronie. Nieprawda, że bez poczucia dumy. Przecież na dobrą sprawę nie zaczęło się jeszcze wszystko, a my już zostaliśmy — tak to się w zadufaniu potraktowało — zapotrzebowani przez formujący się organizm społeczny i organizację życia kulturalnego. Od razu, z pominięciem tyłu pośrednich stopni, dostakujemy do Ważyków, Jastrunów, Minkiewiczów, Pasternaków, Piętaków i Bieńkowskich. Zresztą bębenek był podbijany. Bo jeśli piątą książką odrodzonej Polski był „Wybór wierszy poetów lubelskich”... O niewiarygodny czasie! Żebyż to dziś doszło do zrealizowania publikacji w trzy miesiące po narodzinach zamysłu! Czy świadczy to na korzyść ówczesnej bazy poligraficznej? Bogać tam. Tę książkę, jak i wszystkie literackie, drukowało się w Zamościu. Przy użyczeniu tej okoliczności samo nasuwa się podejrzenie, że dzisiejsze trudności techniczne wysuwają się dla osłonięcia restrykcji całkiem innego rzędu. Jeśli nie zwykłej indolencji.

Co ze mną? Nic. Po przyjęciu przez Putramenta zostałem skierowany do radia. Widocznie jednak — zresztą słusznie — w radiu nie bardzo miano nadzieję na moją przydatność w pracy mi nie znanej, ponieważ okres „immatrykulacji” przeciągnął się ponad

normy dyktowane ówczesnym przyspieszeniem życia, co w praktyce czyniło ze mnie interesanta zalatwanego w sposób określony zwrotem „ni to, ni owo”. W końcu dla ostatecznego wyjaśnienia sytuacji zdecydowałem się wtargnąć do samego naczelnego, którym był Wilhelm Billig. Naczelną akurat kupił sobie torebkę gruszek i w momencie mojego wejścia oddawał się konsumpcji tych smacznych owoców. W odpowiedzi na moje pytanie co do zatrudnienia zostałem poczęstowany gruszką. Powiniennem się domyślić, gruszkę kurtuazyjnie zjeść, po czym tematu nie podejmując, a sprytnie nawiązując do okoliczności, pożegnać się bez zamiaru powrotu. Ponieważ ani domyślności, ani sprytu nie wykazałem, naczelnemu nie pozostało nic innego, niż tylko mnie przyjąć. Zostałem tzw. redaktorem stylistycznym, co w dzisiejszej nomenklaturze przełożyłoby się na adiutatora. Jako adiutator zajęcia wiele nie miałem, ponieważ w radiu, jak to w radiu szczególnie ówczesnym — pośpiech i galop w eter, więc to pośrednie ogniwo, jakim jest wygładzanie tekstu, nie zawsze było respektowane. Jako stałe natomiast prawem kaduka przyłągnięto do mnie monotonne zajęcie sporządzania tekstów dla spikerów anonujących poszczególne pozycje programu. Wysilał tu, bracie, inwencję, by oklepiane „usłyszeli państwo... a teraz nadamy...” ująć za każdym razem inaczej, a zawsze w atrakcyjnej formie. Miałem więc prawo do sakralnego „uff”, kiedy w Resorcie Kultury i Sztuki PKWN powstał wakat na stanowisku referenta prasowego i tam mnie z kolei oddelegowano. Zajęcie nie określone granicami „stać dotąd”, kontakt z redakcjami nawet niecodziwny, oderwanie od biurka mile widziane, codzienna styczność z kierownikiem resortu (późniejszym ministrem spraw zagranicznych) Win-

Śladami Namysłowskiaków

TO się nazywa trafienie w dziedzinie! Książka Aleksandra Bryka o Karolu Namysłowskim i jego orkiestrze pojawiła się na półkach księgarskich w pełną, 100-rocznicę powstania znakomitego zespołu, jakby na ukoronowanie całego cyklu imprez związanych z tą nieodżałowaną okolicznością. Gwoli ścisłości: jest to druga, poszerzona wersja wydanej przed dwudziestu laty książki o włościańskiej orkiestrze. Autor, znany lubelski muzyk, wieloletni pedagog, pozostał wierny swym zainteresowaniom, a historia pozwoliła mu dopisać nowe karty do namysłowskiej opowieści.

De facto Aleksander Bryk nie miał ambicji stworzenia dzieła o charakterze muzykologicznym, wręcz przeciwnie, adresatem są w najszerszym pojęciu rzeczy melomanów, czytelników dobrej książki. Oczywiście można było bawić się w różnego rodzaju analizy formalne, napisać przy okazji całą epopeję na temat folkloru Zamojszczyzny i Lubelszczyzny. Byłoby to niewątpliwie jeszcze jedna wartościowa czytana przez wąskie grono specjalistów i... nudna porcja dla bibliotek i czytelników. Osobiście śmiem jednak twierdzić, że trzeba autentycznej wiedzy, pasji i... skromności, by pisać po prostu, z wyjątkiem o ludziach i sztuce — dla ludzi. Czyż w końcu nie takie jest życie?

Książkę o Karolu Namysłowskim czyta się gładko. Naturalny tok rozwoju tematu pozwala bez trudu poruszać się w masie faktów i spraw. Stopniowo od narodzin Karola, syna pocztaliera Karola Namysłowskiego, siedzimy dzieje niezwykłego domu muzyków, poznajemy środowisko i klimat społeczny końca XIX wieku, warunki powstania tej niezwykłej chłopskiej orkiestry, koleje jej losów (okres zaborów, dwie wojny światowe, zmiany personalne na stanowisku dyrektora, problemy finansowe i ogólnomuzyczne). Komentarze od autorskie dopełniają fragmenty recenzji, publi-

kacji, wypowiedzi znanych muzyków. Jest też bogaty zestaw fotografii.

„Tradycja orkiestry Bory już 100 lat, wiek cały! — pisze Aleksander Bryk. — Iż to razy zmieniły się przez ten czas warunki, w jakich wypadło jej pracować, a wraz z nimi zadania i funkcje, które miała spełniać. W czasie niewoli apowzechniając szeroko najbardziej autentyczną polską muzykę, uświadamiała społeczeństwu, że ojczyzna jeszcze nie zginęła. Występy młodych, dziarskich chłopców w ludowych polskich strojach, grających z werwą ogniste mazure, podnosiły na duchu i nastrojały optymistycznie. Dzieło Namysłowskiego porównywanego do Sienkiewiczowskich powieści historycznych, do Matejkowickich pieśni czy narodowych oper Moniuszki. Każdy koncert — w zależności od warunków, w jakich się odbywał, i od temperamentu słuchaczy — przetrwał się w mniej lub bardziej jawnej manifestacji polskości”.

I dalej: „Wprowadzając wieśniaków z nieznaną podamiojskiej wioski na estradę wielu miast polskich i obcych aż do Metropolitan Opera House włącznie, ukazując, jak wielkie talenty drzemiały w ludzkiej warstwy w opinii społecznej”. Z nie mniejszym zaangażowaniem odnosi się Aleksander Bryk do najnowszej historii zespołu, okresu pracy pod dyktando Adama Kowalczyka.

W istocie dzieje Włościańskiej Orkiestry Karola Namysłowskiego to także spory kawał życia Aleksandra Bryka. To lato jego fascynacji muzyką ludową, niepowtarzalną atmosferą tamtych muzycznych spotkań, przyjaźni, zdarzeń. Są w książce fragmenty jakby z serca wyjęte, pisane niemal na jednym oddechu... I te oceniam najwyżej.

Teresa Księska

Aleksander Bryk: Karol Namysłowski i jego orkiestra, Lublin 1986, wyd. II.

Niepełny informator

UKAZAŁA się oczekiwana od 1966 roku druga część „Małego słownika pisarzy polskich”. Fakt ten cieszy.

Pierwsza część „Małego słownika” objęła pisarzy od początków piśmiennictwa do 1918 r. Wielu jednak autorów wysokiej rangi nie znalazło się w tej części „Słownika”, może dlatego, że minione epoki literackie zostały dobrze spenetrowane przez naukowców i stosunkowo łatwo uzupełnić zainteresowania w innych, bogatszych źródłach.

Znacznie gorzej przedstawia się problem z literaturą po roku 1918. Publikacji omawiających literaturę lat 1918—1980 jest mało i są w zasadzie trudno dostępne. O wielu pisarzach brak w ogóle wiadomości; można jedynie znaleźć w bibliotekach ich książki, i to nie wszystkie. Tę lukę informacyjną przynajmniej słownik powinien wypełnić w miarę dokładnie.

Druga część „Małego Słownika” ujmuje autorów debiutujących po roku 1918, a zamyka się w zasadzie na 1975 roku. Mimo więc sporej objętości książki, nie mogła ona pomieścić poważnej grupy twórców, co redaktorów tej publikacji nie może usprawiedliwiać. Kryteria, którymi kierowali się autorzy „Słownika”, wydają się niezrozumiałe. Znajdujemy tu bowiem nazwiska pisarzy legitymujących się jedną pozycją książkową, a próżno by szukać autorów posiadających znaczący dorobek literacki.

Z pisarzy Lubelszczyzny okresu powojennego znajdujemy biogramy W. Babinię, Ciesielezuka, K. A. Jaworskiego, J. N. Kossowskiego, W. Mrozowskiego i związanych z naszym makroregionem — J. Szczawieja, W. Iwanuka, R. Liskowackiego, B. Zadurę, B. Madeja i paru innych. Braki natomiast są olbrzymie. Pominęto tej miary pisarzy co A. Strug, ale zamieszczono biogram H. Mnieszek. Jest dwóch Bocheńskich — Aleksander i Jacek, ale nie ma Tadeusza; znajdujemy Józefa Łobodowskiego, lecz próżno szukać Czesława Bednarczyka...

Nie chodzi mi tu o przetargi personalne, o to, kto w „Słowniku” miał się znaleźć, a kto nie, lecz o przydatność „Słownika”, o jego funkcję informatorską i popularno-naukową.

Istota zagadnienia nie polega na tym, że „Ilość miejsca poświęcona pisarzom zależy jest od ich znaczenia i dorobku” — jak czytamy we wstępie — lecz na tym, że po-

minięto zbyt dużo nazwisk, co czyni z opracowania dokument niepełny, a może nawet tendencyjny.

Dziwne np., że z powojennego środowiska literackiego Lubelszczyzny (nie licząc wyżej wymienionych) nie wszedł do „Słownika” nikt. Dlaczego?

Na końcu książki, na stronach od 297 do 435, figuruje „Indeks tytułów” książek, które w biogramach pisarzy zostały wymienione. Czy nie lepiej byłoby te 102 strony poświęcić pominiętym autorom? „Byłby większy pożytek i poważna oszczędność papieru.

Nasuwa się wniosek, że autorzy „Słownika” powinni w drugiej części pomieścić pisarzy okresu 1918—1944, a w trzeciej — lat powojennych: 1945—1975. Wówczas rejestr byłby pełniejszy a „Słownik” bardziej przydatny.

Odczuwa się powszechnie brak zwiezłych informatorów dotyczących wszystkich pisarzy współczesnych. Dlatego właśnie słownik powinien dawać wszechstronny przegląd nazwisk, bez względu na wiek, dorobek i ocenę twórczości pisarza. Poza tym słownik powinien pełnić rolę dokumentacyjnego informatora, a nie selektywnego przeglądu czyichś własnych gustów i ocen.

Obok przedstawionych niedostatków „Słownika”, są też pozytywne. Do nich należy przede wszystkim umieszczenie biogramów pisarzy emigracyjnych. Szkoda tylko, że wśród nich także nie ma wszystkich. Z grona pisarzy emigracyjnych znajdujemy nazwiska związane z Lubelszczyzną — Czesława Miłosa, Wacława Iwanuka, Józefa Łobodowskiego oraz Bronisława Przyłuskiego (a nie Przyłubskiego, jak podano w „Słowniku”).

Do wartościowych stron książki należy także to, że każdy biogram kończy się zwiezłym omówieniem zainteresowań i walorów artystycznych twórczości pisarza.

Kończąc, wypada stwierdzić, że „Słownik” jest publikacją potrzebną, ale przy drugim jego wydaniu redaktorzy powinni uwzględnić niedostatki pierwszej edycji.

Maria Janina Okoń

Mały słownik pisarzy polskich, część II, Wiedza Powszechna, 1981, s. 436, nakład 50 000 egz. Publikacja zbiorowa pod redakcją Włodzimierza Macłaga.

Kamena str. 9

na jest swobodna dyskusja i umożliwienie przeciwnikowi podważenia wszystkiego, bowiem dopiero wtedy „okaze swą moc i trwałość to, co się podważać nie da”.

Kotarbiński jest filozofem w etymologicznym i rygorystycznym sensie tego słowa. Filozofia oznacza „miłośnictwo mądrości”, filozof zaś to człowiek, który oddaje się służbie poszukiwania mądrości, prawdy o świecie i człowieku. Takie rozumienie przedmiotu filozofii implikuje postawę, która jest zawsze bliższa „funkcji poszukiwania prawd niż funkcji głoszenia twierdzeń uzyskanych [...]”. Ma się do myśli rozwiązania i podaje się je towarzyszącemu dociekań do sprawdzenia przez namysł „wspólny”. Jest to więc filozofia daleka od traktowania odbiorcy jako ciągle potrzebującego pedagogizowania, niezbyt rozgarniętego ucznia.

Filozofia Kotarbińskiego to propozycja, której celem jest zbudowanie całościowego poglądu na świat. Problem natury świata rozwinięty został w *Realizmie* (później nazwanym *konkretyzmem*), zaś problematyka człowieka — w systemie etycznym nazwanym przez autora *etyką niezależną, etyką realizmu praktycznego*. Kotarbiński stworzył system, który — z jednej strony — nawiązywał do tego, co racjonalne w przeszłości myśli filozoficznej (polska filozofia czynu), z drugiej zaś strony — otwierał drogę przed inną filozofią gdzie zasady „dobrej roboty”, dzielności czynu mają znaczenie przewodnie.

Dla generacji urodzonych i wychowywanych w Polsce po drugiej wojnie, posiadających cząstkową wiedzę o rzeczywistości i tradycjach polskiej kultury, postać i dorobek Kotarbińskiego jawi się jako symbol tych wartości, których nie dane im było doświadczyć: ciągłości i tradycji właśnie; symbol tego, co choć zmieniające się, przystosowujące do warunków, to ciągle oryginalne, autentyczne, indywidualne, polskie wreszcie.

Próba zrozumienia roli kultury i jej miejsca w życiu narodu wiąże się ze spostrzeżeniem, które, jak dotąd, w dyskusjach nie jest eksponowane — iż kryzys kultury zasadza się na kryzysie filozofii. Doszło do sytuacji, w której oficjalna kultura — wbrew pozorom — nie orientowała się na żadną filozofię. Kultura stawała się coraz bardziej pusta wewnątrz. Jej obrzędowo-urzędowa powłoka stawała się przysłowiowym „kościółem bez Boga”.

Deprecjonowanie bądź przemilczanie tradycji polskiej myśli filozoficznej i społecznej, zinstytucjonalizowanie i zdogmatyzowanie filozofii marksistowskiej, tendencyjne interpretowanie

centym Rzymowskim — przybyło wiatru w żaglek mojej łódeczki. Czasem za dużo. Np. dyrektor biura (nazwiska nie podam, bo wyglądałoby to na donos po 37 latach) zlecił mi sporządzenie korekty wydawanej przez Rzymowskiego „Nowej Epoki”; ale zamiast otrzymać odbitek szpalowe wszystkie od razu, musiałem asystować linotypście i korektę każdej szpalły przeprowadzać na bieżąco, zaraz po jej złożeniu; spędziłem w ten sposób w drukarni całą noc, efektywnie wykorzystując nawet nie 5% przeznaczonych na to czasu. Cóż jednak. W drukarstwie byłem nowicjuszem, a przypuszczam, że wyższych kwalifikacji nie miał ów dyrektor, chciał jednak wykazać — kapitan — poszanowanie dla wymagań służby. Przecież „Nowa Epoka” nie była dziennikiem.

Kiedy reaktywowano Związek Zawodowy (ten przymiotnik w nazwie figurował) Literatów Polskich, okazało się, że poza znaczeniem prestiżowym fakt ten nie wpłynął na zmianę w praktyce życia literackiego. Dlaczego nie wpłynął? Dlatego, że i tak toczyło się swoim poprzednim trybem, zdominowanym całą atmosferą pierwszych dni wolności. Spotykano się, dyskutowano, każdorazowe spotkanie kilku osób w redakcji „Odrodzenia” było sposobnością do niemal literackiego sympozjum. Był to czas, kiedy chciano dyskutować. Jak do pięciu lat zamrożenia słowa polskiego w druku wyrastały pisma bodźcowane pragnieniem widzenia więcej i artykułów pisanych po polsku, to samo było ze słowem mówionym. Zadnych zdawkowych „co słychać”, „jak tam zdrowiecko”. Od razu in medias res. Poza innymi cechami był to czas, kiedy zdecydowanej atrofii uległy zdawkowe formy towarzy-

współczesnych niemarksiowskich nurtów filozofii doprowadziło do powstania postawy nieufności, niechęci, ignorancji bądź zupełnej negacji filozofii jako nauki. Recepcja marksizmu — mimo wprowadzenia go do programów nauczania wszystkich kierunków studiów — budzi raczej niepokój niż imponuje. Toteż kultura filozoficzna społeczeństwa polskiego stoi (leży?) na żenująco niskim poziomie. Paradoksalnym jest więc fakt, że w przeciągu ostatnich kilku miesięcy na większości polskich uczelni nie tylko zniesiono egzamin z filozofii, ale zmniejszono liczbę godzin przedmiotu na kierunkach niehumanistycznych!

W realizowanym modelu kultury pożądaną sferą zainteresowań była nie powinność wobec obiektywnej rzeczywistości, nie powinność wobec społeczeństwa, ale powinność wobec władzy (mającej monopol na rozum i prawdę). Było to odstępstwo od specyficznie polskiej tradycji mówiącej o „służbie społecznej” inteligencji, zobligowanej do ochrony zagrożonej suwerenności umysłowej społeczeństwa, do obrony tradycji kultury narodowej jako świadectwa tożsamości narodu. Rewizja świadomości powinna więc być powrotem do własnych tradycji i do realiów życia społecznego. Wiąże się to nierozdzielnie z podniesieniem poziomu kultury filozoficznej, jeżeli inteligencja chce zachować to, co jest jej specyfiką, a więc radykalizm intelektualno-moralny, rolę awangardy kulturalnej w społeczeństwie.

Ogólnikowo sformułowany pogląd, iż filozofia w PRL pełniła tylko funkcje apologetyczne, nie dostarczając społeczeństwu ani rozpoznania, ani krytycznej refleksji wobec procesów społecznych, nie wytrzymuje krytyki. W środowisku filozoficznym nie zabrakło bowiem ani rozpoznania, ani owej refleksji. Faktem natomiast jest, że autentyczna filozofia miała utrudniony albo wręcz niemożliwy dostęp do funkcjonowania w kulturze, w konsekwencji nie stała się tym, co było jej powołaniem: ośrodkiem inicjatyw intelektualnej, profilaktyka życia. Rezonans społeczny filozofii był nikły, stanowiła ona wiedzę wąskiej grupy intelektualistów, których rezygnację, świadomość bezsilności doskonale oddaje prof. Kotarbiński w jednym ze swych ostatnich „wesolych smutków”:

*Nastala kłeska... Spieszmy! Czas ucieka!
Wołają: Dość już pustą skarżą kwilic!
Lecz triumf doraźny — nie w mocy człowieka;
Zło musi dojrzeć, aby się przesilić.*

kiego konwenansu. Przeciwnie niż dziś, kiedy dwaj udają, że prowadzą ożywioną rozmowę, a po kwadransie żaden nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie, czego rozmowa dotyczyła. Wtedy nieznajomi mieli sobie więcej do powiedzenia, niż dziś znajomi.

Z czasem otworzono kawiarnię „Pod paletą”. Znajdowała się w miejscu, gdzie dziś mieści się księgarnia wydawnictw radzieckich. Tam Przybóś miał swój wieczór autorski (nie pamiętam, czy nie więcej niż jeden?), tam odbywały się dyskusje i te organizowane z zawiadomieniami w prasie, i te spontaniczne, tzn. przy czarnej kawie. Ha. Okolicznością sprzyjającą było, że tak często gasło tam światło. No bo w ciemności śmieje się mówić. Choćby dla samej ekspresji, kiedy jedyną formą uwewnętrznienia się uczestnika grupy jest jego głos.

Tu wybiegłem poza chronologię. Kawiarnię otwarto później, nie w lipcu. Ale o co to szkodzi. Lipcem był nie tylko lipiec. Mianem lipca obejmuję wszystko, co działo się w całym okresie „Polski lubelskiej”, choćby już z towarzyszeniem liści jesiennych, choćby nawet płatków śniegowych. I tak kiedy sięgam pamięcią do tamtych dni, ich obraz dla mnie jest zdominowany mnóstwem słońca i tym rozprężeniem ludzkiej psychiki, w którym to stanie znajdujemy się ludzki organizm w najbujniejszym okresie lata.

W tym czasie często od starszych słyszałem: „Patrzcie i zapamiętajcie młodzi, to jest historia”. Co do mnie, nie bardzo wierzyłem, by warto było poświęcać bezpośrednie doznanie na rzecz refleksyjnego nastroju. Czyli te słowa trafiły do mnie dopiero dziś.

Zygmunt Mikulski

Pijak też człowiek

Andrzej Stypułkowski

DLACZEGO do tak poważnego problemu jak alkoholizm podchodzi się w sposób pruderyjny? Jeżeli ogólne potępienie, przewijające się we wszystkich wypowiedziach prasowych, jest tak powszechne, to dlaczego istnieją pijacy? Skąd wzięła się ta koszmarna, powszechnie znana statystyka, obejmująca miliony osób nadmiernie pijących? Czyż nie jest to jeszcze jeden przykład dwulicowej opinii, jednej oficjalnej, a drugiej na własny użytek? Zacięte abstynentów odbiera im niekiedy zdolność logicznego myślenia.

Padają propozycje jedne skrajniejsze od drugich, a ich autorzy są przekonani, że właśnie oni znaleźli rozwiązanie. Wyrażają poglądy tak radykalne, aby nie mógł zaiskrzyć nawet cień podejrzenia, że nie potępiają pijaństwa jednoznacznie i całkowicie. Tymczasem problem jest zbyt poważny, zbyt złożony, aby dał się załatwić na drodze takich proponowanych posunięć, jak podwyższenie cen alkoholu, zaostrzenie przepisów ustawy o zwalczaniu alkoholizmu, bądź przeniesienie wszystkich ziemniaków, które miały być zużyte do produkcji wódki, na paszę. Zakasne skutki prohibicji w Stanach Zjednoczonych — są znane od lat pięćdziesięciu...

Konieczny jest kompleksowy program walki z pijaństwem, obejmujący duży wachlarz społeczeństwa i w pełni zindywidualizowane przypadki. Należy ukierunkować go bardziej na profilaktykę i leczenie, a mniej na wprowadzanie ślepych sankcji. Zaangażowane w jego ustalenie, a następnie konsekwentną realizację, winny być wszelkie siły społeczne: Kościół, partia, związki, szkoła i organizacje młodzieżowe, w zgodnym współdziałaniu. Ale też punktem wyjścia do takiego programu musi być analiza sytuacji oparta na faktach, a nie na wzajemnym mistyfikowaniu się, obejmująca oprócz oceny ilościowej zjawiska również studia socjo- i psychologiczne, ocenę obyczajowości, społecznych odruchów i reakcji. Jeżeli program opierać się ma na harmonijnej współpracy całego społeczeństwa, a w przeciwnym razie nie ma on szansy powodzenia, powinien być zgodny ze społecznym odczuciem prawdziwym, nie tym oficjalnym. Musi zostać zaakceptowany przez wszystkich z przynajmniej przez przyłaczającą większość.

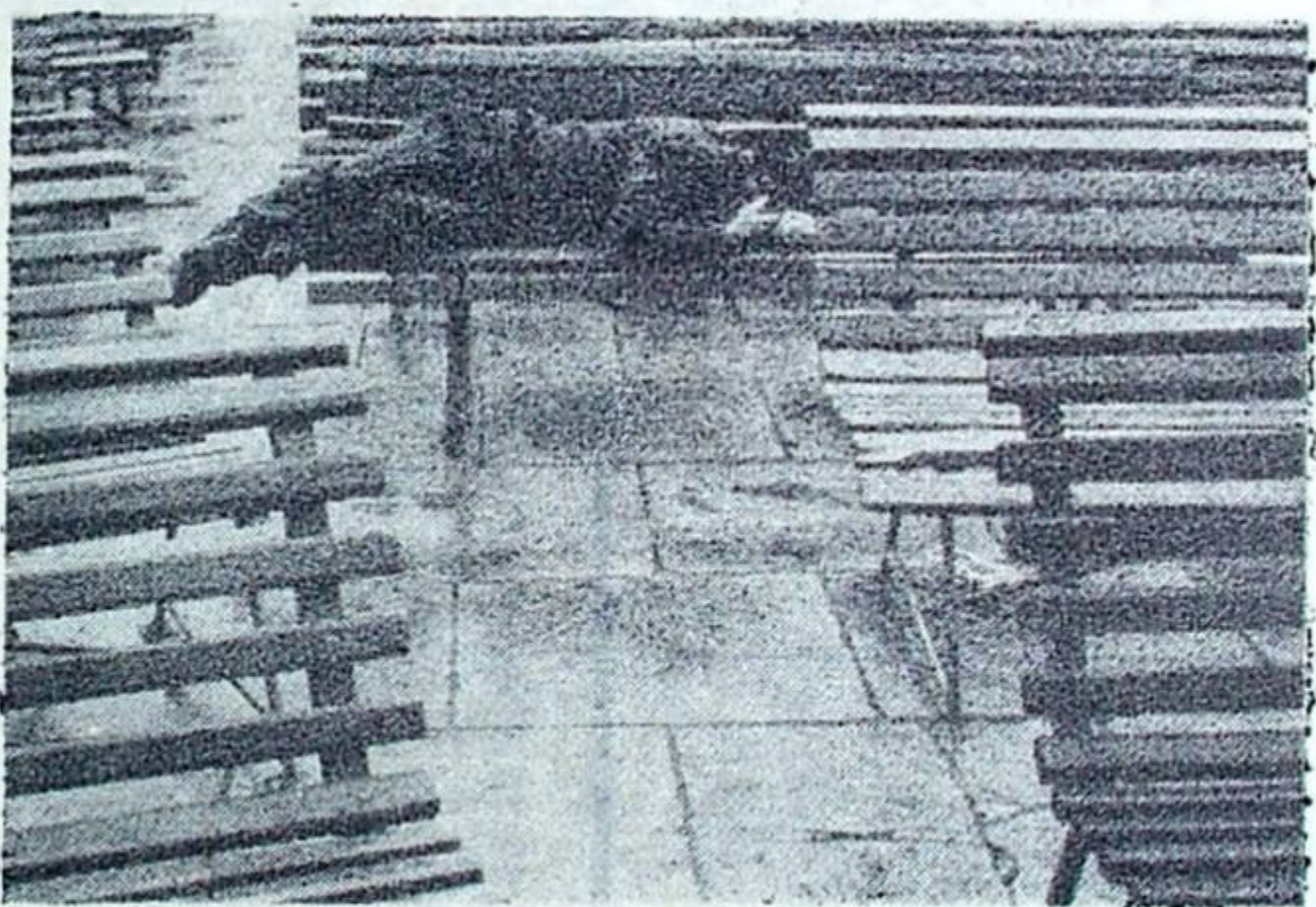
Obecnie, jeśli zjawisko, jako takie, ludzi ogólne potępienie, o tyle opinia publiczna — odnośnie poszczególnych przypadków — jest podzielona między dwie wyraźnie zaznaczone grupy i zajmuje dwa przeciwstawne stanowiska. W pierwszej prym wiodą kobiety, których mąż lub syn nalagowo pija, i które uzasadniają, że często nienawidzą wódek, a nawet, przenosząc na ogół pijaków, to one właśnie, bezradnie i zrozpaczone, urabiają opinię urzędową i trudno się nawet dziwić, że uginają się ona pod presją ich nieszczęścia. W drugiej grupie jest przyłaczająca większość tych, którzy nie stykając się z alkoholikami na gruncie własnej rodziny, nie odczuwają osobistego zaangażowania. Opinia ich jest więc raczej tolerancyjna, a nawet nie pozbawiona pobłażliwej sympatii. Nie bez wpływu jest tu literatura, od renesansu aż do czasów najnowszych z upodobaniem opisująca pijaństwa i z sympatią odnosząca się do pijaków.

Nie bez wpływu jest i tradycja, co gorsze, że białamutna. Najbardziej ogólnie jest przekonanie, że pijaństwo wyrosło z szlacheckiej, co w pewien sposób je nobilituje, tradycji doby saskiej. Nie błędniejszego! Pijaństwo w Polsce (i nie tylko) wywodzi się z tradycji znacznie starszej niż szla-

checka i ogarniało różne warstwy. Ale od czasów Oświecenia nadmierne picie spotyka się z powszechnym potępieniem. W XIX i na początku XX wieku nieumiarkowane picie jest już od dawna w bardzo złym tonie. Pije wyłącznie hołota, nie pije nadmierne ogół ludzi szanujących się.

Wyraźnym załamaniem się obyczajowości jest okres okupacji niemieckiej. Tymczasowość egzystencji, przemieszanie się warstw społecznych, skala codziennych przeżyć — wpływają, przy dużej dostępności wszelkiego rodzaju alkoholu, na powstanie nowej pijackiej obyczajowości. Ta obyczajowość nie zanika wraz z końcem wojny, przeciwnie rozwija się, jak wiemy, i zatacza coraz szersze kręgi.

W połowie lat pięćdziesiątych prasa biła na alarm, że statystyczny Polak wypija 2 l czystego alkoholu, tzn. 5 l wódki. Wówczas to została uchwalona, w 1956 roku, pierwsza ustawa o zwalczaniu alkoholizmu. Według danych z końca lat sześćdziesiątych (a w 1959 uchwalono nową ustawę, której część przepisów wprowadzono do kodeksu karnego z 1969 roku) — na



Fot. W. Stępień

statystycznego Polaka przypadają 4,6 l, co odpowiednio dawało 11,5 l wódki, a według aktualnych danych — 8,2 l, czyli 20,5 litra wódki. Ten przerażający wzrost świadczy o nieskuteczności ustaw, jak i innych wymierzonych przeciwko pijakom przepisów, ale nie tylko. Wprowadzenie w polskim prawie zasady, że „stan nietrzeźwości w chwili popełnienia przestępstwa stanowi okoliczność obciążającą” jest przede wszystkim niehumaniarnie. Nie występuję tu przeciwko innym przepisom odnoszącym się do przestępstw popełnianych pod wpływem alkoholu, ale twierdzę, że wprowadzenie tej zasady do wymienionej wyżej ustawy, a następnie do kodeksu karnego, kłóci się z duchem współczesnego prawa stosującego łagodniejsze sankcje w razie niepełnego rozeznania sprawcy.

Wróćmy do statystyki. Jeżeli statystyczny Polak wypija 20,5 l wódki, to po odjęciu 45 proc. na niepijące kobiety (pije ok. 10 proc. kobiet) i 35 proc. na dzieci oraz inne osoby niepijące, pozostałe 20 proc. wypija ponad 100 litrów rocznie, a więc 280 g, czyli ponad ćwiartkę codziennie. Jak to przedstawia się w liczbach absolutnych? W rozbięciu na środowiska, grupy zawodowe, wiek?

Jeśli uprzedzimy sobie, że dla alkoholików, posiadających zmniejsz-

zoną tolerancję, pół ćwiartki wódki wystarcza niekiedy do upicia się aż do utraty świadomości, wpadnięcia w szal alkoholowy, nawet do zabójstwa — że alkoholicy zatem przesuwają się do grupy osób statystycznie malej pijących, a liczba ich w ostatnim okresie musiała niesłychanie wzrosnąć — to cytowana tu statystyka stanie się jeszcze bardziej przerażająca.

Szacunkowo przyjmuje się, że codziennie w Polsce upija się milion ludzi. A ile setek tysięcy spośród nich upija się, lub co najmniej znajduje się pod wpływem alkoholu, w pracy? W myśl przepisów należałoby zwolnić ich dyscyplinarnie, ale też przepisu tego z przyczyny, o której wspominałem wyżej, nie stosuje się. Z moich obserwacji wynika, że z reguły jest on wyciągany w formie szantażu wobec pracowników, którzy z innych względów stali się niewygodni dla kierownictwa.

I tu dochodzę do niezwykle ważnej kwestii: ze wszech miar słuszną jest walka z alkoholizmem i pijaństwem, ale jako ze zjawiskiem, a nie przeciw człowiekowi. Pijak nie może być wyjęty spod prawa, nie powinien być również dyskryminowany.

Tymczasowa praktyka odbiega z reguły nawet od stosowania istniejących, surowych przepisów. Najprostszym przykładem może być wypadek drogowy, w którym jeden z uczestników znajdował się będzie pod wpływem (nawet lekkim) alkoholu. Bez głębszej analizy, wzięcia pod uwagę co najmniej ewentualnego przyznania się drugiej strony, milicja sporządza protokół przypisujący mu winę — a sąd skazuje. A wszakże można by z powodzeniem zastosować art. 28 par. 1. Ustawy o zwalczaniu alkoholizmu, który za samo fakt prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwym przewiduje wysoką karę, natomiast konkretny wypadek drogowy rozpatrywać obiektywnie.

„Czy i ile państwo zarabia na produkcji i sprzedaży alkoholu?” I udziela odpowiedzi, że nie, bo stracone dniówki (!) na picie i kaca plus koszty leczenia są droższe — wyliczona to w kilku wysoko rozwiniętych krajach. Wyliczona — zgoda. Ale u nas? W zamkniętym obiegu pieniądza i towarów zwiększenie produkcji alkoholu zwiększa ilość wydrukowanych pieniędzy. Ani nie wpływa to na ilość pozostałych towarów na rynku, ani na wzmocnienie pieniądza (wpływa to na statystyczny wzrost płac, tzw. realnych).

Przypomnijmy sobie, że podczas wojny Niemcy, wpływając na demoralizację ludności Generalnej Guberni różnymi środkami (między innymi przez pornografię i alkohol), tolerowali istnienie nielegalnych bimbrowni — nie zysk z monopolu spirytusowego był dla nich najważniejszy. Akcje przeciwko bimbrowniom prowadziła regularnie AK. Obie bowiem strony zdawały sobie sprawę, jak jest korzystne przekształcenie narodu w bezmyślną, niezdolną do oporu, zdaną jedynie do czarnej roboty na rzecz III Rzeszy masę — samounicestwiająca się biologicznie przy pomocy alkoholu. Ale przecież nie można dopuścić myśli, by takie cele przyświecały również naszym władzom. Po cóż więc stawiać pytanie: „czy i ile państwo na pijaństwie zarabia?” Nie ma obecnie środowiska w Polsce, które byłoby całkiem wolne od pijaków. Zatarł się całkowicie podział, pod względem picia, na klasy szanujące się i hołotę. Zanikło także pojęcie deklasowania się na skutek pijaństwa. To w polskiej literaturze zostały zapisane słowa: „nurzałem swój płaszcz królewski w portowych szynkach”.

Rzucając się w oczy różnica między pić na „sposób polski”, a pić w innych krajach, choćby takich jak Francja, w której spożycie alkoholu jest niemałe — jest to, że Polak upija się, a Francuz z reguły nie. Potrzebne wyjaśnienie, że polega to na rodzaju alkoholu, nie jest prawdziwe. Różnica polega na tym, że Polak pije na pustą żołądek i wycieńczony organizm. Dlatego statystyka wykazuje, że w którymś miejscu znajduje się Polska pod względem spożycia alkoholu, jest zważniejsza. Otrazuje wprawdzie ilość wypitego alkoholu, lecz nie wykazuje, i nie może wykazywać, z jakim skutkiem. Musimy sobie zdać sprawę, że nasze zdrowie nie pozwala nam na picie alkoholu w porównywalnych z innymi społeczeństwami ilościach.

Różnią nas również warunki, w jakich poza domem może się napić alkoholu Polak i obywatel każdego innego kraju w Europie. Marża stosowana w drugorzędnych nawet restauracjach odstępuje od picia w nich alkoholu, nie ma zaś wpływu na spożycie alkoholu w ogóle. Zwalczany bezskutecznie zwyczaj wyprawiania imienin w pracy z tym właśnie jest związany. Solenizanta — pracownika po prostu nie stać na to, aby zaprosić kolegów po pracy, jak było to w powszechnym zwyczaju jeszcze kilkanaście lat temu. A skoro przywykliśmy pic w pracy z okazji imienin, to czemu nie z innej, lub bez okazji?

Piwo zaś pije się w Polsce w warunkach skandalicznych. Takie mordowanie, jak u nas, można napotkać jedynie w NRD. Ale w NRD poza mordowaniami można bez trudu napić się piwa w warunkach kulturalnych, ba — nawet w sklepie dostać szklankę, a pod nią krawiec.

Zostawmy ten temat-rzekę, na który mógłbym napisać książkę. Przejdźmy do ostatniego, najważniejszego pytania: jak z tego wyjść?

Spółczesność jest już od dawna wystarczająco zmęczona istniejącą sytuacją, aby nie pragnęła prawdziwej odnowy, oparcia się o rzeczywiste autorytety i solidarne z nimi współdziałanie. Ale też owe autorytety i współdziałanie muszą być rzeczywiste, z równą odpowiedzialnością i konsekwentną traktowane przez wszystkich partnerów. Obywatel nie przejdzie obojętnie obok leżącego na ulicy, czy awanturującego się pijaka, lecz zawezwie organa porządkowe oraz udzieli im pomocy jedynie w wypadku, jeśli będzie przekonany, że pijak ten nie zostanie pobity i okradziony w radiowozie, albo w izbie wytrzeźwieni, lecz że zostanie mu udzielona prawdziwa i rzetelna pomoc — słowem, jeśli będzie miał zaufanie do tych, z którymi przyjdzie mu współpracować.

Jan Paweł II podczas swojej wizyty w Polsce, wśród innych poruszanych problemów, podniósł kwestię piąjstwa, wspierając swym autorytetem prowadzoną przez Kościół akcję o zachowanie trzeźwości. A wszakże, w przeszłości, Kościół miał znaczne sukcesy w ograniczaniu piąjstwa, jak choćby przez wprowadzenie zakazu picia w poście.

Ale od czasów pierwszego „okresu błędów i wypaczeń” katolicy zmuszani są do jedzenia mięsa w piątek w stołówkach pracowniczych. Cóż stoi na przeszkodzie, aby dzień bezmięśny obowiązywał w naszym kraju, przeniesiony na piątek? Obecna sytuacja to jeden z relikwów niegdyśjszych konfliktów z religią.

Napisałem wyżej o konieczności kompleksowego programu, w którego ustaleniu, a następnie realizacji, powinny być zaangażowane wszystkie siły społeczne. Program ten powinien być ukierunkowany na stworzenie motywacji do niepicia. Czy w naszych warunkach braków rynkowych nie skłaniających do oszczędzania, ani nie dających możliwości sensownych zakupów; braku wolnego czasu; braku wreszcie życia społecznego w miejscu zamieszkania — istnieją takie motywacje?!

Nie inaczej przedstawia się problem piąjstwa wśród młodzieży. Pomijając czynniki motywujące dorosłych, u młodzieży dochodzi czynnik sprzeciwu wobec wszelkiego rodzaju zakazów oraz chęć jak najszybszego przekroczenia progu dojrzałości. Banalnym będzie przypomnienie o czynnikach emocjonalnych, euforii, ucieczce od stressów, podnieceniu seksualnym, które to doznania — bis repetita placent.

Tak więc główną przyczyną alkoholizowania się młodzieży upatruję w upadku autorytetów, które mogłyby wywołać motywację niepicia. Taką motywację stanowiło niegdyś harcerstwo. Dlatego z wielką nadzieją czekałem na wyniki zjazdu ZHP, który odbył się w drugiej połowie marca w Warszawie. Próby radykalnej odnowy związku zostały jednak odrzucone jako ekstremalne.

Pierwszy cios harcerstwu został zadany w 1948 roku, gdy przekształcono je w OHPL i nadużywając nazwy zmieniono nie tylko formy działania, lecz przede wszystkim ich treść. W roku 1956 reaktywowano harcerstwo, lecz nie na długo. Od II Walnego Zjazdu ZHP w Warszawie w 1959 roku, na którym zmieniono władzę związku i wytyczono „nową linię”, stopniowo powrócono do wszystkich błędów, w których niegdyś grzeszyła OHPL, tym razem pod nazwą HSPS. Kształcenie charakteru zastąpiono nauką podporządkowania, a patriotyzm — popieraniem aktualnej władzy.

Harcerstwo wymaga odnowy, takiej jak w pięćdziesiątym szóstym roku. To prawda, że wówczas było łatwiej: — OHPL rozwiązała się, a reaktywowano ZHP, zaczynając niejako od zera. Osiem lat, które dzieliło od „starego harcerstwa”, to jednak był okres krótszy, niż obecne dwadzieścia jeden — wtedy nawet kadra instruktorska nie zdążyła się jeszcze zastarać. Obecnie tej kadry nie ma. Nauczyciele, wyznaczeni przez szkołę „do harcerzy”, traktują to jako dodatkowy obowiązek, często nie wiedząc, jak się z niego wywiązać, a w żadnym razie nie czują się harcerzami.

Harcerstwo, aby mogło się odrodzić, musi się od szkoły oderwać. Drużyny, prowadzone przez instruktorów-harcerzy (skąd ich teraz wziąć?), mogą latnieć przy szkołach, ale nie w ramach szkoły. Harcerstwo z prawdziwego zdarzenia musi się różnić od „zajęć pozalekcyjnych”, często równie uciążliwych i mało atrakcyjnych dla ucznia, jak i nauczyciela.

Biorąc pod uwagę cały problem, chciałbym wierzyć, że nasze społeczeństwo ocknie się z alkoholowego otumanienia. Warunkiem tego jest, aby infekcja społecznych, jakie niewątpliwie powstaną, nie kanalizować w poradniach zdrowia psychicznego, czy innych jednostkach biurokratyczno-administracyjnych.

Co skłania mnie do optymizmu w tym względzie? Otóż to, że w chwilach zagrożenia i strajku, lub gotowości strajkowej, gąsło „społeczne zapotrzebowanie” na alkohol. Wszyscy podporządkowywali się społecznie narzuconej prohibicji.

W PAMIĘCI starszego i średniego pokolenia muzyków polskich nazwisko „Biernacki” kojarzy się z nauką pierwszych prawideł muzycznych. Od zarania naszego stulecia wszystkie generacje kształcących się w dziedzinie „sztuki dźwięków” posługiwały się bowiem podręcznikiem o skromnym tytule: „Zasady muzyki”, które przygotował Michał Biernacki. Owe „Zasady...” powstały w roku 1901 w wyniku szerzej zakrojonych prac metodycznych w ramach Instytutu Muzycznego Warszawskiego, stały się oficjalnym podręcznikiem konserwatorium i doczekały się ośmiu wydań polskich oraz jednego przekładu na język rosyjski. Jeszcze w latach sześćdziesiątych w wielu średnich szkołach muzycznych posługiwano się przedwojennymi publikacjami podręcznika M. M. Biernackiego, nadal aktualnego i nieprzestarzałego. Nazwisko autora „Zasad...” nie zostało zatem zapomniane. Natomiast mało osób — nawet w środowisku muzycznym — wiąże je z muzykiem-kompozytorem, publicystą i organizatorem życia muzycznego w zarania naszego wieku. Jeszcze w latach trzydziestych Biernacki był znaną osobistością warszawskiego świata muzycznego, profesorem konserwatorium i posiadaczem znaczącego tytułu członka honorowego Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego.

Metryka wiąże Michała Mariana Biernackiego z Lublinem, gdzie urodził się 24 września 1855 roku. W tym mieście jego ojciec, Zenon Biernacki herbu Poraj, był urzędnikiem gubernialnym. Aspiracją intelektualną i artystycznym rodziców zawdzięczał Michał Marian wszechstronne wykształcenie. Muzyki uczył się u znanych nauczycieli lubelskich: u braci Müllerów, u Alfonsa Czarnieckiego i Konrada Starczyńskiego. W nauce gry na instrumentach czynił zapewne znaczne postępy, skoro w wieku dwunastu lat występował publicznie w lubelskich salonach.

Po ukończeniu gimnazjum w Lublinie Biernacki udał się do Warszawy, gdzie w roku 1874 rozpoczął studia w Instytucie Muzycznym Warszawskim. Dane mu było kształcić się u najlepszych ówczesnych pedagogów: teorię uczył się u Gustawa Roguskiego, kompozycję u Władysława Zelenckiego, a gry na wiolonczeli u Józefa Goebela. W roku 1877 Biernacki ukończył Instytut i przez dwa lata pozostawał w Warszawie, grając na wiolonczeli w orkiestrze Teatru Wielkiego. Jednakże już w roku 1880 opuścił stolicę i znalazł się w Stanisławowie. Przebywał tam przez lat siedemnaście, pełniąc rozmaite funkcje: był dyrektorem Towarzystwa Muzycznego im. Moniuszki, zorganizował szkołę muzyczną, a przede wszystkim komponował. Swoje utwory wysyłał nawet na konkursy kompozytorskie do Warszawy, Lwowa, Brukseli i Pesaro. Zbierał za nie nagrody i odznaczania.

W roku 1897 Michał Marian Biernacki osiadł w Warszawie i od tam stałe był związany z tym miastem. Rozwinął czynną działalność w różnych dziedzinach: jako pedagog, dyrygent, kierownik chórów, pisarz, recenzent, kompozytor i organizator życia muzycznego.

Przez trzy lata (1897—1900) Biernacki był „referentem” w „Echu Muzycznym, Teatralnym i Artystycznym”. Działalność recenzencka Biernackiego

była różnorodna: prowadził rubrykę „Przegląd muzyczny”, pisywał często w dziale „Nowości muzycznych”, zabierał głos w samodzielnych, najczęściej okolicznościowych artykułach. Jako krytyk muzyczny zasiadał w solidnych sprawozdań i w miarę obiektywnych ocen artystycznych faktów.

Centralnym tematem sprawozdań Biernackiego na łamach „Echa Muzycznego” było życie operowe Warszawy. Sumiennie rozpatrywał wydarzenia w jedynej stałej instytucji muzycznej stolicy, jakim był Teatr Wielki. Omawiał premiery i kolejne wykonania, występy gwiazd operowych i śpiewaków mniejszej rangi. A podkreślić należy, że w owych czasach Warszawa słyszała wielu światowej sławy artystów. Biernacki notował te wielkie imprezy muzyczne, jednakże oceniając artystów, nie ulegał magii wielkich nazwisk, nie obawiał się mistrzom wytykać najrozmaitsze błędy.

Przedmiotem wielu wypowiedzi uczynił Biernacki działalność koncertową Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Urządzone przez tę instytucję „wieczory” poświęcone muzyce klasycznej, „mniejsze wieczory muzyczne” o lżejszym repertuarze, „wielkie koncerty” z udziałem orkiestry doczekały się szerokiego omówienia.

Przy różnych okazjach powracał krytyk do problemów twórczości polskiej. Przedmiotem jego studiów i refleksji krytycznej była muzyka Chopina, Moniuszki i kompozytorów doby jego współczesnej. Często ocena dzieł połączona była o analizę formalną. Oto na przykład, omawiając uverture Zeleńskiego Janek, zwrócił Biernacki uwagę na ludową proveniencję motywów muzycznych i w tym właśnie upatrywał popularności utworu u odbiorców. Bowiem „przypomina znane wielu słuchaczom tematy, jakie bądź poznali w Zakopanem, bądź w opracowaniu tychże przez Paderewskiego w *Tańcach* jego *tatrzańskich*” — konstatował Biernacki.

Krytyk nie był przychylnie ustosunkowany do muzyki niemieckiej, czego dowodem jest między innymi sprawozdanie z wykonania *Tako rzecze Zaratustra* R. Straussa. Nasuwa się nawet podejrzenie, że obca mu była muzyka fin de siècle'u i że nie rozumiał jej specyfiki. „Przeciw takiej muzyce — pisał — zaprotestować musi każdy, kto w mowie dźwięków szuka czegoś więcej niż zmysłowego brzmienia, kto wielbi w kompozycjach mistrzów prawdziwych idee podniosłą, wymowną, rozwiniętą zgodnie z prawami piękna i oddziałującą potężnie mimo skromniutkie środki [...] tymczasem schyłkowiec taki, jak R. Strauss poczyna sobie dla oryginalności zupełnie przewrotnie: muzyka dlań środkiem, efekt zaś kolorystyczny — celem i ultima ratio!”. Tę wypowiedź Biernackiego można traktować jako jego credo artystyczne.

Wśród publikowanych na łamach „Echa Muzycznego” artykułów na uwagę zasługuje kilkuczęściowe opracowanie teoretyczno-muzyczne pt. „Mickiewicz a muzyka”. Oporując się na wcześniejszych pracach i własnych poszukiwaniach, szeroko omówił Biernacki twórczość muzyczną zainspirowaną poezją Mickiewicza.

Spuścizna kompozytorska Michała Mariana Biernackiego jest różnorodna, ale niezbyt obfita. Jest to twór-

czość mniejszego formatu; obecnie zapomniana i nie wykonywana na estradach, pozostaje na peryferiach polskiej kultury muzycznej, choć za życia autora cieszyła się uznaniem współczesnych muzyków-krytyków i słuchaczy. Kilka kompozycji Biernackiego zostało nagrodzonych na konkursach. Reprezentacyjnym utworem stała się *Suita A-D-C-A*, za którą kompozytor otrzymał wyróżnienie w roku 1893 na międzynarodowym konkursie w Brukseli. A. Münchheimer, recenzując tę kompozycję, zauważył w niej obecność „świeżych dysonansów, zestawień harmonicznych i modulacji”. Krytyk określił *suitę* jako „dzieło, które poważne, pełne emocji i interesujących niespodzianek, słowem dzieło, które jemu [Biernackiemu] jak i nam, jego współziomkom, prawdziwy zaszczyt przynosi”. Inny utwór, *Mazurek g-moll*, w roku 1896 został nagrodzony na konkursie kompozytorskim w Pesaro.

Osobny rozdział w twórczości Biernackiego stanowią utwory wokalne. Przez lata muzyk ten prowadził różne zespoły chóralskie i dla nich sam przygotowywał repertuar. I za te utwory otrzymywał nagrody. Wśród kompozycji wokalnych na uwagę zasługuje *Sielanka* do słów Kamińskiego, utwór na chór i orkiestrę, nagrodzony na konkursie WTM. Znany muzykolog A. Poliński pisał o *Sielance* następująco: „Rzecz to dużej wartości muzycznej, odznacza się zarówno bogactwem i świeżością tematów, jak i nastrojem szlachetnym, doskonałym zastosowaniem melodii do znaczenia słów tekstu oraz barwną instrumentacją”.

Osobnego omówienia wymaga działalność Biernackiego w Warszawskim Towarzystwie Muzycznym. Był w nim czynny jako organizator, pedagog, dyrygent, popularyzator tej instytucji na łamach prasy. Wiele lat pozostawał w zarządzie WTM, piastował nawet przez jedną kadencję funkcję dyrektora muzycznego (1903—1905). Przez pewien okres prowadził chór WTM: w latach 1897—1906 kierował chórem mieszanym, a w latach 1901—1903 chórem żeńskim. Od roku 1893 włączył się do grona pedagogów szkoły muzycznej WTM i uczył zasad muzyki oraz harmonii.

Biernacki był wybitnym pedagogiem idącym z prądem czasu, który szanował dawne idee, lecz nie potępiał najnowszych. Wychował kilka pokoleń muzyków polskich, kształcając ich gruntownie w zakresie teorii muzyki, ucząc śpiewu i gry na instrumentach. Poczynając od roku 1897 aż do 1924 wykładał teorię w Instytucie Muzycznym Warszawskim. Ponadto okresowo współpracował z Instytutem Aleksandryjskim Wychowania Pańców, gdzie nauczał śpiewu i teorii muzyki.

Michał Marian Biernacki miał więc znaczny udział w rozwoju życia muzycznego Warszawy. W latach trzydziestych wycofał się jednak z wszelkiej działalności z powodu sędziwego wieku. Zmarł 18 maja 1936 roku. Jak wielu artystów zasłużonych dla polskiej kultury pochowano go na cmentarzu Powązkowskim.

POCZTA LITERACKA

Janusz G. Konin. Ze zrozumiałych powodów nie mogę wdąć się w szerokie rozważania na temat nadesłanych utworów. Ogólnie: dominacja zdania, w tym nawet złożonego, rozpisanego na wersy, a pochodząca od pradawnego Różewicza i jego naśladowców — przechodzi tu w szara publicystykę. (Np. „Daleko do mnie”), „Marysianka” — bez treści, nawet bez próby sderzenia się z jakimś metaforą. „Robiąc scenę zazdrości” — udziwienie nie proponujące żadnego uzasadnienia dla „podgrzyzania sobie gardła” czy dla „transfuzji człowiek — podłoga”. Po prostu wiersz ten wyszedł z pustki i pusty zostaje do końca, czytelnik nie może „zaskoczyć”, gdyż autor nie ma nic do przekazania. To samo odnośnie do „Kuracji” i „Na czatach”. O tym, że „wracam z powrotem” to masło maślane — na tym etapie wtajemniczenia powinien Pan już wiedzieć.

Ryszard Ch. Łosice. Aby przekonać mnie o nieracjonalności i tendencyjności mojego sądu o nadesłanych utworach, podpijera Pan swoje wywody cytatami z „Nieodżałowanego

Sieda”, „natomiast moje wcześniejsze cytaty z *Miłosza*, mówiące między innymi o potrzebie skromności słów, której brakuje Pańskim utworom — kwituje Pan stwierdzeniem: „Zupełnie zbyteczne i mocno spóźnione są słowa zachęty by czytać *Miłosza* teraz, gdy jego utwory stają się ogólnie dostępne”. Ja nie zachęcam Pana do „czytania *Miłosza*”, tylko do zwrócenia uwagi — w trakcie czytania, na pewne właściwości tej poezji, moim skromnym zdaniem wcale nie tak wielkiej, choćby na nie jego eselistycznego dorobku. Po drugie, *Miłosz* wcale jeszcze nie jest ogólnie dostępny ani się nawet tak na razie nie staje, bo np. zupełnie niedawno wydałem 200 złotych za „*Traktat moralny*”, zdobyty spod lady, i po ostatnie: z Pańskiej przysięgi wynika, że wypada cytować tylko postów zakazanych, zaś po zdjęciu kłatwy powoływanie się na takich banitów jest nieprzyzwolone. Tak czy owak, gdybyśmy obydwaj powołał się jeszcze na Biblię czy na dzieła zebrane Marksa, w niczym nie pomóżemy ani nie zaszkodzimy Pańskim utworom, które pozostaną takie same, jak przedtem. A poza tym uważam, że zbyt wcześnie i zbyt nerwowo nadał Pan swojej korespondencji ton kategorycznego pożegnania. To nieprawda, że rozstania zbliżają...

Jerzy M. Lublin.

Ojczyzna

W czterdziestym czwartym Odrodź się się Wolnością Narodu czynem. Dziś pozostań w sercach naszych Na zawsze obywatel.

Moge Pana zapewnić, w imieniu *Ojczyzny*, że wybaczę Panu ten wiersz.

K. Olszyn. Prawie nie drukujemy wierszy satyrycznych. Rzeczywiście jest sama w sobie zabawna! A propos... proponuję „Szpilki” lub właśnie „Rzeczywistość”, piana barzo serio zmagające się z poczuciem humoru.

Zdzisław K. Jarosław. Gdzieś jak gdzieś, ale w grotesce panować musi jakiś ład w bezładzie nieraznych realiów. A „Sen przygarbionego urzędnika” nafażerowany „dotojnymi palmowcami” i mnogocią egotycznych rekwizytów i nonsensów, zmierz do celu wielokrotnie już osiągniętego — do odkrycia, że życie to jeden wielki teatr, zgrzywa, groteska i absurd. Proponuję więc... powszechność wobec palmowców...

Józef O. Horzęcin. „W kolejce po natchnienie stoje” — osnażnia Pan w „Pisanii” i to jest smutna autoprawda. To pracowite, uporezywe poszukiwanie natchnienia objawia się chwytaniem przeróżnych motywów jako sposobów i sposobików na zrobienie wiersza, ale wierz to nie sznur koralków nanizanych na Hłujki Odrzucenie „Samsony”, „Świątynie niepowodzeń”, „Dkarów”, „Mow-trawa” — kłeszenie grochu odbitego od sełny” — i tym podobne zasyżanki. Po drugie oderwać się od studiowanej przez Pana polonistykę przynajmniej na moment pisania wiersza — od jej historyczno-literackiej patyny. A na końcu zamysłać się nad tym, czy daleko się 2rć bez pisania wierszy...

Co było, nie jest

KAZIMIERZ z przyległościami liczy 4500 mieszkańców, ale na uroczystej sesji Rady Narodowej z okazji jubileuszu miasta pojawiło się raptem około 30 osób, z czego połowa to były delegacje zakładów pracy, które stoczyły później kwiaty na grobach zasłużonych obywateli miejscowości.

W tym samym dniu, 24 czerwca, na Kazimierz spada ulewa tak potężna, że pan Henryk Gawarecki powinien ją wciągnąć na swoją listę klęsk żywiołowych, jakie maltretowały naszą „perłę renesansową” przez stulecia. Woda wyrwała asfalt z Nadrzecznej, zalewała piwnice i ogrody, roznosząc po miasteczku zwały żółtawego błota, zmieszane go ze ściekami, które zaatakowały także Galerię Letnią. Gdyby nie dyrektor Jerzy Zurawski, który własnym ciałem ległszy na matach uszczelniających drzwi przybytku przed inwazją ohydy, w miarę skutecznie tamował wodę, deszczowy strumień niechybnie zalałby srebra w podziemiach budynku, może i niszcząc po trosze wystawę biograficzną Jana Witkiewicza-Koszczyca, przygotowaną według scenariusza Mieczysława Kurzątkowskiego i co tu dużo mówić — informacyjnie znakomitą. Straty spowodowane przez ulewę oblicza się w milionach złotych, lecz kto wie, czy stałyby się blotnistym faktem, gdyby rzeczki Grodarz, która powinna zbierać deszczówkę, nie odgradzała od otoczenia solidny, wystarczająco wysoki mur z kamienia łupanego.

Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza Liczy około 200 członków, z czego 50 mieszka w Warszawie, a drugie pół setki w Lublinie, chwając się w chwilach prywatnych słabości tą przynależnością, ale na sesji popularyzacyjnej z okazji 800-lecia Wietrznej Góry itd. pojawiło się nie więcej, niż 30 osób, wśród których trudno było szukać ludzi wpisanych na trwałe w legendę miejsca o n'eb'e najbardziej błękitnym w Polsce, co niemal trzydzieści lat temu autorytatywnie stwierdził Zenon Kononowicz — malarz zwany przed wojną „Zwiastem”, a później „Kanonem”, „Bosym” oraz (przez panią Kazimierę Sieklucką z nalezcowskiej „Marzanny” w stylu włoskim) „Berecikiem”. Aż dziw bierze, skąd architekt Tadeusz Augustynek bierze tyle entuzjazmu i energii dla kazimierskiej sprawy, wklajając się w wyczerpujące działania na rzecz towarzystwa, które powstało w latach dwudziestych z dobrej woli księdza Stanisława Szepietowskiego i Tadeusza Pruszkowskiego.

Willi Pruszkowskiego to była niegdyś letnia rezydencja mistrza i pracownia, w której malowali studenci warszawskiej ASP i artyści zaprzyjaźnieni z gospodarzem. Dziś jest to obiekt uwagi przewodników wycieczek-turystycznych, użytkownicy familijnie i coraz bardziej skrywani przez pobliskie drzewa i krzewy, ledwo już widoczny z rynku, co niewątpliwie napawa miłą satysfakcją tych wszystkich, którzy od początku wdzili w budowlę pogwałcenie pejzażu, kompletnie nie dostrzegając w niej dobrych mocy mitotwórczych, wpisujących Kazimierz w kulturę polską.

Budynek przy końcu ul. Senatorskiej to była niegdyś łaźnia, zaprojektowana po I wojnie światowej przez Jana Witkiewicza-Koszczyca, który w Kazimierzu pracował w latach 1919—1923, konserwując zabytki i wznosząc oryginalne obiekty: szkołę rzemiosł budowlanych i willę Potworskich. Ruchliwy działacz socjalistyczny w młodości, więzieni moskiewskich „Butyrek”, akurat w momencie związania się z Kazimierzem zerwał z działalnością polityczną, stwierdzając przeciwko późnej: „Przekonania moje jednak nie zmieniły się”. W szczególności sposób potwierdziła to właśnie owa łaźnia, budynek niezwykle malowniczo skomponowany, utrzymany w duchu z polską modernistycznym, a w sieni posiadający sgraffitowe fryzy, z inicjatywy architekta wykonane przez rzeźbiarza Aleksandra Zurakowskiego. Jak trafnie zauważył M. Kurzątkowski w rzeczowym, monograficznym szkicu do katalogu wspomnianej wystawy w Galerii Letniej, „jest to nie tylko wyrazem poglądu Jana Witkiewicza na współdziałanie sztuk plastycznych. Ujawnia się tu Koszczyk-społecznik, który w obiekcie przeznaczonym „dla ludu”, mającym zaspokoić podstawowe potrzeby higieniczne i ciepły wstydlive plagi, dba o elegancję i artystyczny wyraz „recepcji”.

Dzieło wybitnego architekta, twórcy gmachów obecnej Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, już wiele lat temu przestało służyć jako łaźnia. W sponiewieranym budynku mieszka dziś kilka rodzin, które z utęsknieniem czekają na wzniesienie w Kazimierzu spółdzielczych bloków.

Co było, nie jest Obejrzyjmy więc chociaż wystawę witkiewiczowską, prezentującą twórczość architekta z lat nalezcowskich i kazimierskich zorganizowaną w stulecie urodzin Koszczyca, a czynną od końca czerwca przez lipiec.

IJK

EKRAN I WIDZ

Gorzki Łagów

Tegoroczne, trzynaste z kolei, Lubuskie Lato Filmowe określały przede wszystkim: przegląd retrospektywny filmów fabularnych nie prezentowanych dotąd publicznie, czyli tzw. „filmy z półek”, seminarium Stowarzyszenia Filmowców Polskich i Klubu Krytyki Filmowej SDP — „Krytyka filmu dziś i wczoraj: jej rola wobec polskiego filmu fabularnego” oraz pokaz filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza”.

Piszę w tytule, że tegoroczny Łagów był „gorzki” bo niewesołe refleksje natchnęły widzów oglądających odłożone niegdyś na półki filmy; jakże łatwo było, jeszcze tak niedawno, przekreślić wielomiesięczną pracę zespołu ludzi: reżysera, scenarzysty, operatora, aktorów, ekipy technicznej, upatrując w ich wspólnej krytycznej wypowiedzi nie wiedzieć jakie zagrożenia dla „słusznej i jedynej linii postępowania”.

I jakże, mój Boże, w wielu przypadkach — spoglądając z dzisiejszej perspektywy — był zakres owego krytycznego spojrzenia twórców. Nota bene były i takie filmy, których autorom wyrażono nie zamierzoną szkodę: nie zawsze, niestety, odwaga wypowiedzi idzie w parze z rangą artystyczną dzieła, niektóre z filmów niechby lepiej spoczywały w pokoju nie doznając łaski zmartwychpowstania... Gorzki był zawód łagowskiej publiczności, bo w przeglądzie „filmów z półek” nie pokazano zapowiedzianych i bardzo oczekiwanych materiałów filmowych do „Na srebrnym globie” Andrzeja Zulawskiego, którego produkcja została swego czasu przerwana na skutek odgórných decyzji oraz ukończonej właśnie przez Jerzego Skolimowskiego ostatecznej wersji filmu „Ręce do góry”.

I wreszcie: gorzkie słowa padły podczas dwudniowego seminarium poświęconego krytyce filmowej ostatnich lat. Niestety, najmniej było na seminarium osób najbardziej oczekiwanych, to znaczy samych krytyków. Zwłaszcza tych, wobec których wysuwano szczególnie często zarzuty. Zwykle nader aktywni podczas imprez festiwalowych — tym razem gremialnie „zignorowali” Łagów. Trudno się zresztą dziwić...

Z gazety festiwalowej wynotowuję fragmenty niektórych referatów wygłoszonych podczas łagowskiego seminarium, aby przynajmniej częściowo zorientować Czytelnika o czym i w jakiej tonacji tam mówiono:

Krzysztof Metrak, krytyk literacki i filmowy, w referacie: „Panorama krytyki lat siedemdziesiątych”: „Kulturę lat siedemdziesiątych poddano procesowi daleko idącej instrumentalizacji. Po raz pierwszy po wojnie kultura stawiała się w takim rozmiarze przedmiotem manipulacji nie tyle ideologicznych, ile „sojoteczniczych”, maskowanych ledwie ideologią sprzeczna często do roli ornamentacyjnej. (...) Patrzone wyłącznie na doraźną skuteczność: kultura znalazła się w rzeczywistości gry sił, interesów, grup, koterii etc. Nie o wartości w tym wszystkim chodziło ani o racje merytoryczne, ale o tworzenie określonych sytuacji, w których wygodnie było manipulować decyzjami i ludźmi. Miało to określone skutki i zakłóciło także funkcjonowanie krytyki filmowej. W dziedzinie filmu podjęto dwie „klasyczne” operacje manipulatorskie. Pierwsza, przy okazji „Człowieka z marmuru” i „Barw ochronnych”, które to obrazy poddano drażniącej odprawie. Był to pierwszy przypadek w dziejach naszej kinematografii, kiedy zakazano pisać o publicznych odczytach, pozostawiając krytykom wolność opinii negatywnych. Ten, kto atakował te filmy, wiedząc o tym, że nie można podjąć z nim jakiegokolwiek dyskusji — stawiał się, chcąc nie chcąc, w sytuacji moralnie dwuznacznej. Druga operacja manipulatorska podjęto przy okazji tzw. „kina moralnego niepokoju”. Filmy te — w zgodzie z dyskretną dyrektywą — poddawano gorliwej odprawie, piorami karnych oddziałów piechoty filmowej. Utracano, gdzie można, głosy przeciwe lub broniące, czyszczono — gdzie trzeba — to, co już do prasy się przedostało. W ten sposób zmistyfikowano samo zjawisko. Sytuacja ta przyczyniła krytyce filmowej wiele problemów natury etycznej, moralnej. Krytyka traćta autentyczność, niezależność, wiarygodność, nie uzyskując nie w zamian”.

Janusz Kijowski, reżyser i krytyk filmowy, w referacie: „Krytyk i twórca — płaszczyzny porozumienia płaszczyzny sporu”: „Słabość tej formacji krytycznej polegała być może na tym, że nie umiała ona wyjść poza czy ponad doraźność reakcji i refleksji, poza aluzyjność najbardziej nawet odważnych sformułowań, że dopuściła do „zawłaszczenia” przez twórców obrazu naszego życia, skazując się dobrowolnie na rolę wtórnego komentatora. Na tej drodze najbardziej wartościowi musieli odpaść — i to jest ich wina. Nastawienie na dyspozycyjność, tę w konturnie do obowiązków instrukcji, przetrzącało nam porządnie kręgosłupy. To jasne. Nam — twórcom filmowym i nam — krytykom. Ciągłe tylko trzeba było być za albo przeciw, ciągle tylko popierać coś, albo coś zwalczać, bez chwili zastanowienia, bez cienia wątpliwości”.

I jeszcze o sprawach gorzkich: gorzka jest prawda pokazana w „Człowieku z żelaza”. Na szczęście film ten mógł zostać nakręcony i oczekuje wejścia na nasze ekrany. I to odsuwa zawarte w nim niewesołe prawdy jakby trochę na dalszy plan, tym bardziej eksponując przyświecającą mu wiare w człowieka.

M. D.

KRONIKA

• Brak importowanych surowców poważnie komplikuje, lub wręcz wstrzymuje produkcję Lubelskich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa”, wytwarzających strzykawki do jednorazowego użytku, urządzenia do przetaczania krwi, wkłady do „sztucznej walki”.

• W tegorocznym Festiwalu Kapel i Spiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym uczestniczyło mniej zespołów i solistów, niż to obserwowane w poprzednich latach. Wśród rzeźb, malowideł, wycinanek ludowych, oferowanych na targach sztuki podczas imprezy, spotkać można było pospolicie „dekier”, czyli kicz jarmarczny, produkowany przez amatorów.

• Buraki cukrowe obrodzą latos dobrze, mówi się o 350 kwintalach z hektara, jeśli oczywiście jakaś zaraza nie zniszczy upraw. Tymczasem z cukrowni donoszą, że brak im węgla, środków transportu części zamiennych do urządzeń produkcyjnych, kamienia wapniowego. A kampania na Lubelszczyźnie rozpocznie się w tym roku wcześniej, już na początku września.

• W kilku księgarniach województwa otwarto działy skupu i sprzedaży książek używanych, wydanych po roku 1944. Pożyczki społeczne, ale i nowe cenniki na takie książki zdają się obiecywać powodzenie inicjatywy.

• Szekspirówskim „Makbetem” Teatr Ochoty z Warszawy, wspomagany przez studentów szkół artystycznych, zainaugurował Zamoiskie Lato Teatralne. W programie imprezy siedem spektakli, m. in. Teatru Sio z Krakowa.

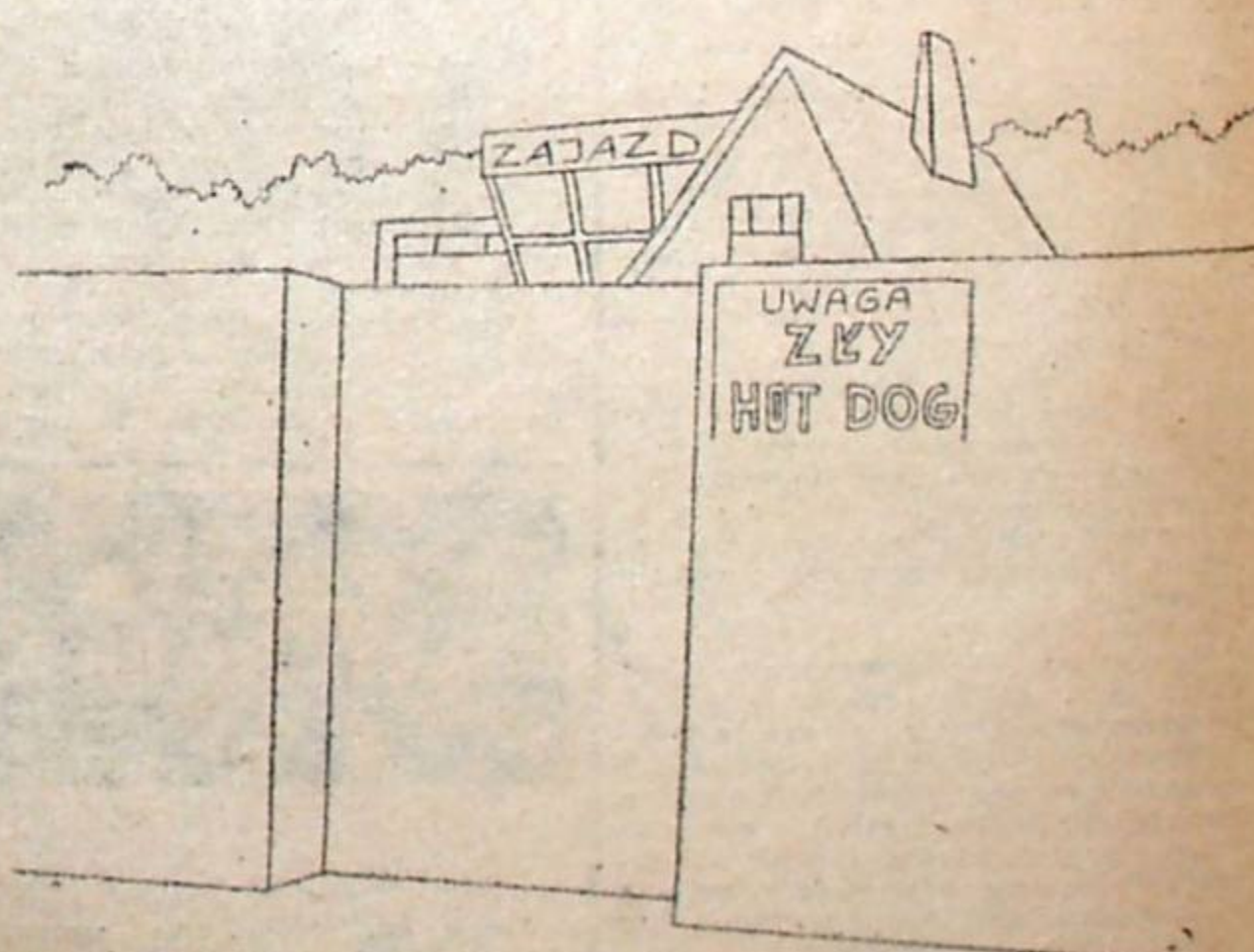
• Lubelszczyzna należy do tych województw kraju, w których odnotowuje się najwięcej zachorowań na gruźlicę.

• Chór Akademicki KUL pod dyktando Kazimierza Górskiego występuje w lipcu w Wielkiej Brytanii (m.in. na Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym w Llangollen). W drodze powrotnej przewiduje się koncerty w Belgii i RFN.

• Ceny mięsa na wolnym rynku w Lublinie osiągają poziom „imponujący”: 350 zł za kilogram schabu, 280 zł za kilogram mięsa szynkowego. Natomiast na targowisku w Chełmie mięsa brakuje. Za kilogram pomidorów, jeśli trafi się na nie, płacić trzeba (początek lipca) 70—80 zł.

• Na koncie Miejskiego Funduszu Odnowy Zabytków w Lublinie zgromadzono ponad 15 mln zł, co na pewno dobrze świadczy o zrozumieniu sprawy przez obywateli i instytucje miasta ale jest kropla w morzu potrzeb. Zresztą władze miejskie robią wiele, by potrzeby te... wzrastały Oto uledawno w zabytkowej części Lublina (pl. Lokietka i część Krakowskiego Przedmieścia) wystawily one potworne metalowe plotki. Ile kosztować będzie ich usunięcie? — pytamy miejskiego i wojewódzkiego konserwatora zabytków, którzy nie zareagowali zresztą na ten skandal.

• 3 lipca w lubelskim BWA otwarto wystawę malarstwa i rzeźby Okręgu ZPAP. Bez rewelacji.



Rys. W. Fuglewicz

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Borcia, Miroslaw Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Palak (kierownik działu literackiego), Waldemar Stepien (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłoz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10—12 i środy w godz. 14—15. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza BSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 255-33. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7104. Nr indeksu 36231. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/3. Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 213-53, dział publicystyki i literacki 273-33.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-059 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.